BENEDYKT HERTZ

WAKACJE W PUSZCZY.

III, I, 20, 16

4 3 m

WAKACJE W PUSZCZY

RYSUNKI I OKŁADKA KAZIMIERY I MICHAŁA ROUBOW

BENEDYKT HERTZ

WAKACJE W PUSZCZY

POWIEŚĆ DLA DZIECI POWYŻEJ LAT 10

WILNO — 1923
NAKŁADEM I DRUKIEM LUDWIKA CHOMIŃSKIEGO
KSIĘGARNIA STOWARZYSZENIA NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO.

Printed in Poland

LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C095903114

TŁOCZNIA „LUX", WILNO, UL. GENERAŁA ŻELIGOWSKIEGO 1

1. W „SLIPINGU".

ały, elegancki pokoiczek, błyszczący politurą i mosiężnemi okuciami na czerwonych adamaszkowych ścianach, kołysał się zlekka, jak na sprężynach. Przez wielką lustrzaną szybę widać było uciekające słupy telegrafu; daleko za niemi wlókł się marudnie las, ku któremu szybko obracały się zielone, zieleniejące i czarne pasy zagonów. Z za lasu wypełzło rumiane słońce, a wspinając się zwolna po kopule niebieskiej, bladło, nabierając równocześnie coraz mocniejszego blasku.

Magdusia przyglądała się temu wszystkiemu, nie odrywając głowy od poduszki. Sama nie wiedziała, czy jest już wyspana, czy nie. Rozmarzało ją kołysanie i turkot rytmiczny, w którym słyszała najrozmaitsze znane melodje, ale wybijała ze snu niezwykłość otoczenia. Pierwszy raz w życiu jechała takim ślicznym wagonem. Wczoraj wieczorem, gdy wsiadła do pociągu, długo rozglądać się nie mogła: rychło ściemniło się, a choć konduktor zapalił lampę, ojciec nasunął na baniasty jej klosz jedwabną powiekę i kazał dziewczynce położyć się spać.

— Rozbierz się, jak w domu — powiedział. — Nikt nie wejdzie, przedział jest tylko dla nas.

Przystawił schodki składane i Magdusia wdrapała się po nich na górne, czyściutko posłane łóżko. Zasnąwszy tu bardzo prędko, ani się spostrzegła, jak pociąg przeleciał ogromny szmat kraju, a teraz oto pędził okolicą, wielce różniącą się od płaszczyzn mazowieckich, otaczających Warszawę.

Wychyliła się i spojrzała na dół.

Ojciec był już ubrany. Właśnie podniósł wiszącą u okna deskę i zabierał się do pisania.

— Gdzie jesteśmy, tatusiu?

— Już za Bugiem. Niedługo przejeżdżać będziemy brzegiem Puszczy Białowieskiej.

— Jakto, przez ten ogromny, ogromny las, w którym mieszkają żubry i inne dzikie zwierzęta?

— Tak.

— A czy tamtędy można jechać koleją? Czytałam, że trudno przejść, takie są gęstwiny!

— Nie wszędzie. Źle sobie puszczę wyobrażasz. To nie jest jeden ogromny, nieprzerwany las, ale dużo sąsiadujących ze sobą lasów. Są między niemi wielkie, trudne do przebycia bory, ale też i zwyczajne lasy sosnowe, jakie spotyka się wszędzie. Są tam również i osady ludzkie, pola, łąki...

Tylko że owe miejsca niezalesione stanowią mniejszą część przestrzeni.

— Ale nie przeszkadzaj mi, dziecko—dodał ojciec—mam pilną robotę.

Znów zabrał się do pisania.

Zsunęła się na dół. Uchyliła drzwi, stanowiące równocześnie duże zwierciadło, i znalazła się w maluteńkim pokoiczku, gdzie była umywalnia. Więc porządnie się umyła, zupełnie jak w domu, i ubrana, odświeżona, wróciła do przedziału. Siadła w rogu kanapy, wzięła ulubioną swoją książkę: „Nad dalekim cichym fiordem", ale oto pociąg zatrzymał się na stacji.

Wyjrzała przez okno.

Na peronie był tłok i ruch gorączkowy. Mnóstwo osób obładowanych pakunkami, daremnie szukało miejsc w przepełnionych wagonach. Co chwila słychać było krzyki: „Nie wchodzić, tu niema miejsca!"... „Panie konduktorze — wołał otyły jegomość w słomkowym kapeluszu, trzepiąc krótkiemi rękami — panie konduktorze! proszę mi dać miejsce!" — Biegał od wagonu do wagonu, otwierał drzwi, zaglądał i dalej pędził, zaczepiając coraz to innego konduktora. Jakaś żydówka z tłomokiem na plecach i z córeczką, rówieśnicą Mag-

dusi, trzymająca się podartej spódnicy matki, błagała pasażerów prawie z płaczem: „Niech mnie państwo puszczą, ja przecież nie mogę tu zostać“... Ale ją ktoś zepchnął ze stopnia, więc pobiegła dalej i po chwili znikła w tłoku.

Tylko do wagonu, w którym siedziała Magdusia, nikt się nie pchał, choć było tu jeszcze dużo miejsca. Ludzie mijali piękny długi „sliping“, jakby go wcale nie było. Dziewczynka wróciła na swoje miejsce i oparłszy obie ręce szeroko na sprężystej kanapie, przypomniała sobie słowa ojca: „tu nikt nie wejdzie, przedział jest tylko dla nas“. Sprawiało jej to wyraźne zadowolenie, choć równocześnie żal było i tłuściocha w słomkowym kapeluszu, i żydóweczki, trzymającej się matczynej spódnicy, i wszystkich innych walczących o miejsca pasażerów.

Rozległ się krótki tryl świstawki nadkonduktora.— Odjazd!.. Krzyki nagle ucichły i domek stacyjny powolutku osunął się za ramę okna. Zaczęły znów pojawiać się i znikać słupy telegraficzne — coraz prędzej, coraz prędzej, a koła pod wagonem rozdudniły się skocznem tempem jakiegoś szalonego mazura.

Ojciec pisał. Świat leciał w tył. Migały chatki dróżników. Czasami widać było w dali drzemiącą wieś, która — zda się — cicho odpływała w przeszłość. To znów na zielonem tle łąki ukazywały się pstre stada krów — małych, jak zabawki; gdzieindziej zamajaczyła biała plama pasących się gęsi, lub też wyskoczył z pobliskiego rowu koń, podnosząc z trudem spętane kopyta.

Widoki zmieniały się. Raz pociąg zapadał między wysokie ściany piaszczystych urwisk i sunął wąskim korytarzem; to nagle wyrywał się z ciasnoty i mknął wysoko, wysoko ponad głębokiemi jarami. Lasy, doniedawna widoczne tylko z oddali, jęły obecnie przybliżać się, a wreszcie zbitą masą drzew grubych, sędziwych obstąpiły z obu stron tor kolejowy, jakby chciały zatrzymać w pędzie żelaznego potwora, co dyszał kłębami pary i przeraźliwym gwizdem mącił świętokradzko ciszę odwiecznej puszczy.

Ojciec skończył pisać, zaadresował kopertę i nakleił znaczek; a gdy pociąg zatrzymał się na stacji, wysiadł z wagonu.

— Nie otwieraj okna — rzekł na odchodnem — zaraz wrócę.

Magdusia przytknęła twarz do szyby. Spostrzegła ojca i w tejże chwili straciła go z oczu. Jak na tamtej stacji, tak i tu, mnóstwo ludzi tłoczyło się, popychało, krzyczało, mówiąc sobie nieprzyjemne rzeczy.

— A jeżeli ojciec nie zdąży? — mignęło w głowie Magdusi. — A jeżeli nie trafi do naszego wagonu?

Zaniepokoiła się. Miała wrażenie, że już go niema za długo.

— Coby to było?—pomyślała.—Jechałaby sama? Bez ojca? A co dalej?

— Może wyjść z wagonu?.. Poszukać?

Usiadła. Sprobowała czytać, ale sens książki wcale jej do myśli nie wchodził i po chwili znów ją niepokój poderwał. Uchyliła drzwi, wysunęła się na korytarz. W pobliżu stał ksiądz i patrzał przez okno na pociąg towarowy, w którym mieszkali wracający z Rosji do Polski tułacze wojny światowej. I Magdusię na sekundę zajął ich widok. W otwartym szeroko wagonie ujrzała, śród stosu gratów, wynędzniałą kobietę, krającą chleb razowy dzieciom. Przed wagonem mył się mężczyzna, polewając sobie ręce wodą, braną do ust. Zapewne ojciec rodziny. Dziewczynka przeprosiła księdza, chcąc się przecisnąć ku drzwiom.

— Chcesz wyjść? — zapytał.

— Tatuś nie wraca.

— Wróci. Lepiej zaczekać, bo w tłoku możecie się nie spotkać.

Wsunęła się znów do przedziału i w tejże chwili uczuła lekkie wstrząśnienie. Pociąg ruszył. Przypadła z bijącem sercem do okna. Na opróżnionym peronie stał tylko zawiadowca w czerwonej czapce. Chciała spuścić szybę, wołać, by zaczekano na tatusia, gdy raptem usłyszała za sobą szmer. Obejrzała się. W przedziale stał ojciec, a obok niego staruszek z długiemi siwemi wąsami.

2. OPOWIADANIE STARCA.

iech pan tu u nas zostanie — mówił ojciec. — Wziąłem „sliping", bo miałem bardzo pilną robotę, ale, doprawdy, trudno korzystać z tej wygody, gdy się patrzy na mękę pasażerów w zwykłych wagonach.

— Bóg panu zapłać. Tam ciasno, duszno, a mnie astma męczy.

— Oto moja córeczka — wtrącił ojciec, wskazując dziewczynkę.

Magdusia dygnęła.

— Więc pan do Wilna? — spytał ojciec.

— Ano, tak, dobrodzieju, do Wilna.

Usiadł przy oknie, ale spojrzawszy na dziewczynkę, odsunął się w drugi kąt kanapy.

— Nie będę zabierał miejsca — rzekł. — Panienka pewno lubi patrzeć...

— Lubię, ale jeżeli panu wygodnie...

— Mnie i tu wygodnie. Proszę sobie nie przeszkadzać.

— Ot — zwrócił się do ojca — niby pozmieniało się dużo, a przecież na każdym kroku widzę rzeczy znajome, jakbym wczoraj na nie patrzał. Lasy te same, góry, rzeki... Widzi pan tam, ten młyn?.. Stał i sześćdziesiąt lat temu. Ta rzeka to Setwianka. Tu niedaleko do Niemna wpada. Potem zaraz będzie Szczara.

— Zna pan, widzę, dobrze te strony.

— Jakże! Toż ja tutejszy. Witort herbu Syrokomla. Ojciec mój w powiecie trockim ładną wioskę miał —

Angleniki. A do szkół w Wilnie chodziłem i tam też, dziewiętnastu lat nie mając, zaciągnąłem się do partji Sendka. Tak, dobrodzieju, ósmy krzyżyk już na karku, dźwigam. Siedemdziesiąt siedem lat...

— Ładny wiek...

— Ładny!.. Ha, tak się to mówi. Byłby może i ładny, gdyby człek na ojcowiźnie siedział, wnuki bawił... Ale cóż!.. ja dziś sam, sam jeden na świecie.

Dziaduś urwał, drżącą ręką twarz potarł, jakby usunąć chciał z niej ślady wzruszenia i nic przez długą chwilę nie mówił.

— Ja w tych stronach — odezwał się wreszcie — nietylko urodzony i wychowany... Jam je przemierzył we wszystkich kierunkach własnemi krokami. Prócz naszej partji, operowali tu Lubicz i Wysłouch... Coraz to inny z kryjówki wylezie, szarpnie moskala i cofa się w bory. Tośmy tak przez kilka miesięcy od Wołkowyska aż po Troki z kozakami w ciuciubabkę grali. Już myślą, że są na tropie, pędzą pod Olkieniki, bo się tam Lubicz pokazał; aż tu raptem od Rudziszek Sendek głowę wyściubia, więc dawaj ku Rudziszkom zawracać. Ale nim dolecieli, jużeśmy w bagna jurgiskie zapadli i niech sprobują się dobrać! Tylko miejscowy człek znajdzie przez moczary przejście. Poczciwe te bory nasze, poczciwe nasze bagna niedostępne. Swojego tuliły, kryły, obcym dostępu nie dając.

Ale mało nas było! Za mało! Kruszyły się oddziałki w harcach nieustannych... Toż pomyśleć! Ani dnia, ani nocy spokojnej... Tygodniami, ba! miesiącami człowiek ciepłej strawy nie widział, pod dachem nie spoczął; mech mu był najwygodniejszem łożem, knieja domem... A tu siły moskalom rosły, po lasach rozsypało się kozactwo... Szukało, tropiło i stopniowo zapoznawało się z kryjówkami naszemi. A od Wilna szedł po narodzie murawiewowski strach. Za strachem przypełzła i zdrada — tak, że i nas wykryli. Było to akurat w pierwszy dzień Zielonych Świątek. Leżeliśmy na t. zw. „Polackich Wyspach" nad rzeczką Szpigujec, płynącą przez niedostępny gąszcz leśny, trzęsawiskami

oddzielony od świata. Trafili i tu jednak. Stoczyliśmy bitwę. Byliśmy górą. Padł dowódca moskali. Z roty całej dwudziestu kilku zostało. Myśmy tylko dwu stracili. Ale ja dostałem kulą w pachwinę i ani nogą ruszyć. Więc kiedy nasi postanowili przenieść się nad Małą Pirciupkę, podążyć za nimi nie mogłem, a nazajutrz byłem już w kozackiej niewoli.

Oskarżono mnie o zabicie oficera rosyjskiego. Miałem wisieć i sam nie wiem, czemu zawdzięczam, że skazano tylko do ciężkich robót. Lat sześć spędziłem w katordze, potem przyszło ułaskawienie na dożywotnie osiedlenie w Syberji wschodniej.

Tak więc na dalekiej, dalekiej obczyźnie upłynęły dni moje. Przechodziłem kilka razy straszne paroksyzmy nostalgji. Tęsknota za krajem odbierała zupełnie chęć do życia. Gdy nikt nie widział, wprost wyłem — tak mi się koniecznie chciało zobaczyć strony ojczyste, odetchnąć ich powietrzem. Ale z latami minęło i to. Oswoiłem się. Przyszły i obowiązki, bom się ożenił z córką kolegi — takiego, co to jeszcze za poprzednią rewolucję pokutę odprawiał — Bóg dał synka, trza było myśleć już tylko o chlebie dla rodziny. Tak i powolutku człowiek zsybiraczał, przywykł, pogodził się z losem. Ale kiedy żona — świeć, Panie, nad jej duszą — umarła, postanowiłem syna krajowi oddać. Przedtem nie uczyniłem tego ze względu na matkę. Chora była na serce, każdej chwili spodziewała się śmierci i pragnęła mieć jedynaka przy sobie. Nareszcie w r. 1908 pod jesień otrzymał pozwolenie i pojechał. Jakiś czas mieszkał w Wilnie, ożenił się tutaj, ale potem dostał posadę aż w Sosnowcu, bo był górnik z zawodu. I żył szczęśliwie. Pisał, że zadowolony, że ma synka, że robi starania, by do kraju i mnie ściągnąć... Aż tu raptem — wojna europejska!...

Mój dobrodzieju, wnuk żołnierza rewolucji listopadowej i syn powstańca z 63-go roku czyż mógł w takiej chwili siedzieć z założonemi rękami? Pożegnał mój Bolek, młodą żonkę, pożegnał synka i przedarł się przez granicę do legjonów. Miałem od niego po-

tem już tylko dwa listy. Czekałem trzeciego — daremnie.

Tymczasem w Rosji wybuchła rewolucja. Stałem się niespodzianie wolny. Naturalnie, pierwszą moją myślą było — jechać za synem. Nie będę panu opowiadał, jak i którędy podróż odbyłem. Rok prawie przeszedł, nim się dostałem do Władywostoku, gdzie udało mi się wsiąść na okręt amerykański.

Wróciłem... Jestem...

Tu starzec znów zamilkł i, jak przedtem, drżącą, pomarszczoną ręką twarz sobie roztarł. Potem, jakby ze złości na siebie samego, przygryzł koniec wąsa i energicznie przytknął kułak do jednego i drugiego oka.

— Ha! cóż!.. — wybuchnął w końcu — Bóg tak chciał, niema rady! Mój chłopak...

— Zginął? — wtrącił cicho ojciec Magdusi.

— W Karpatach, dobrodzieju. Trudno. Ale pięknie umarł, wiem od kolegów jego. Na szczycie góry obserwował ruchy nieprzyjaciela. Nikt tam wleźć nie chciał — tylko on. Dał swoim wszystkie potrzebne wskazówki, dawał znaki bez strachu, choć kule świstały mu nad głową. Skończył i runął w przepaść, celnie nakoniec trafiony.

Ojciec jestem, więc gdy wspomnę, com stracił, serce boli. Ale wiem, że ta śmierć — nie ból — to chluba. Sam chciałem oddać go Ojczyźnie. Dałem. Kwita.

Muszę jednak odnaleźć wnuka.

— Ma pan o nim wiadomości?

— Niestety, żadnej. Słyszałem tylko, że synowa wróciła do Wilna, stamtąd pojechała gdzieś na wieś i — przepadła. Umarła, czy pognano ją do Rosji razem z t. zw. „uciekinierami“? — nic nie wiem. Jadę szukać śladów.

Pociąg zwalniał. Starzec spojrzał w jedno okno potem w drugie.

— Dojeżdżamy do Jaszun — zauważył.

— Aha! — zawołał ojciec — to na nas czas. Ubierajmy się, Magdusiu.

Pożegnali się z sybirakiem. Wkrótce pociąg stanął.

— Czy są konie z Wieczoryszek? — zapytał ojciec numerowego.

— Jest — odpowiedział tamten, zabierając walizy.

Minęli rozwalone ślady dworca.

Magdusia szła za ojcem. Myślała o tułającym się gdzieś wnuku powstańca, o małej dziewczynce, zepchniętej razem z matką ze stopni wagonu... Wzięła ojca za rękę i mocno, mocno, z całych sił przytuliła się do niej.

3. SPOTKANIE W LESIE.

ała taratajka, skrzypiąc i kołysząc się z boku na bok, wolno wtaczała się na wzgórze, pokryte kępami rdzawego wrzosu i mnóstwem pieńków po wyrąbanym lesie. Magdusia ciekawie rozglądała się dokoła, ale widok był nużąco jednostajny. W dodatku znaczną jego część zasłaniał szary zgarbiony grzbiet woźnicy, nad którym kiwała się nasunięta na tył głowy czapka z zielonym lampasem. Z za tej zasłony ukazywał się co chwila, to z prawej, to z lewej strony, czarny ogon konia, któremu chłop nie przestawał życzyć, by go wilki zjadły.

— Nuu!.. a!.. kab ciabie wołki sjeli — powtarzał „po prostemu".

Trochę to skutkowało, bo koń — ze strachu, widać, przed wilkami — szedł na razie nieco żwawiej, szarpnąwszy tak bryczką, że z łatwością mogli pasażerowie wtył wylecieć. Ale gdy po kilku minutach wilki nie pokazywały się, kasztanek zapominał o nich i wlókł się znów noga za nogą. Droga była sypka, piasczysta, koła zarywały się głęboko. Wjechano wreszcie na szczyt pagórka i popędzono raźniej. Widok też wkrótce zmienił się zupełnie. Wąską drogę, poprzegradzaną korzeniami, o które bryczka hukała, podrzucając jadących, otoczył z obu stron las zwęglonych badyli, najeżonych chudemi kikutami byłych gałęzi. Obraz przedstawiał się tem smutniej, że i ziemia czarna tu była od spalonych igieł.

— A to kto zrobił? — zapytał woźnicy ojciec.

Chłop odwrócił się, ukazując orli profil suchej, ogorzałej twarzy. Mężczyzna to był nie młody, w wąsach miał już wiele siwych włosów, ale krzepki jeszcze.

— Ktoż — odpowiedział — wiadomie, bolszewiki.

Widocznie, chciało mu się pogawędzić, bo gdy ojciec nie odzywał się, usiadł bokiem na desce i zaczął mówić, jakby do siebie, a chwilami do konia:

— Kuźdy tu po kolei gospodarował i kuźdy po swojemu. Nuu!.. a! kab ciabie!.. Carskie ludzi do Rosiei pędzali, giermaniec rąbał i wywoził, bolszewik palił... A wszystko tak, choć złość ludzka duża... widzisz... kab ciabie wołki!.. Łaska Boska jeszcze większa. Niszczyli, rabowali, a puszcza nasza, Rudnicka, jak była, tak jest... Nuu! a! dubina ty!.. a!

— I będzie — dodał po chwili. — Nie w siłach człowieku Boskie dzieło zmarnować.

Jakby na potwierdzenie tych słów, śród czarnego osmału zaczęły się ukazywać, zrazu pojedynczo, potem grupami, drzewa żywe, zielone, od dołu jeno ogniem liźnięte. Gdzieniegdzie zabieliła się weselnie brzoza, ówdzie krzak leszczyny siadł szeroko w kucki, wreszcie bryczka potoczyła się zwykłym lasem. Wysokie smukłe sosny stały spokojne, nieruchome, a słońce rzucało złote plamy na brunatne igliwo, kępy paproci lub połyskujące listki borówek. Stopniowo las gęstniał, ciemniał, grube pnie coraz szerzej rozkładały konary, aż niespodzianie zrobiło się zupełnie jasno. Droga wybiegła na rozległą, kwiecistą polanę, którą ze wszystkich stron otaczała zbita ściana złotawych od góry i ciemnych u dołu pni o zielonych, postrzępionych czubach.

Wjeżdżali znowu w gęstwinę, gdy woźnica odezwał się:

— Przepraszam pana, czy u jego niema broni?

— Mam rewolwer.

— Brauning?

— Nie, zwyczajny...

— Zwyczajny mało. Żal, co ja fuzji nie wziąwszy.

— Abo co?

— Jak ja był jechawszy w tamta strona, tak wo! tam (tu wskazał w bok batem) wilk był przeleciawszy.

— Wilk? — zapytała Magdusia z niemniejszą ciekawością, jak niepokojem. — To tu są wilki?

— Jakże! — odpowiedział woźnica. Spojrzał na dziewczynkę i uśmiechnął się pobłażliwie. — Panienka nie bój się, wilk latem nie straszny.

— A żałujecie, że nie macie fuzji...

— Ot, widzisz, chciałoby się nauczka jemu dać. On u mnie psa niedawno na podwórzu poszarpał. Nadto już zuchwały. A psa żal, mądry był, oho! każdego do chaty puści, nic nie mówi — choćby obcy... Ale sprobuj wyjść! Stanie na progu i tylko kły pokazuje... O, pies!

— Daleko wasze podwórze od domu pana nadleśnego?

— Jakże! Wraz obok.

— Tatusiu — odezwała się dziewczynka — to tam nie będę mogła wcale oddalać się od domu?

Woźnica znów się uśmiechnął.

— Będzie, będzie mogła — rzekł uspokajająco.— U mnie córek i synów siedmioro było, a żadnego wilk nie zjadł, chociaż po całym lesie dzieci łażą — to za żywiołem, to za grzybami, to za czernicą... Wiadomie, jakże!..

Nie bardzo to uspokoiło Magdusię. Zaczęło jej się przypominać wszystko, co czytała o wilkach; a choć już miała lat 10 i różne znała opowieści, jednak — dziwna rzecz — najsilniej ożyła w pamięci historja Czerwonego Kapturka, choć ani ona mądra, ani prawdopodobna. Mimo to, dziewczynce ciągle snuło się w wyobraźni, że oto jest sama teraz Czerwonym Kapturkiem; że tamten las z bajki właśnie tak wyglądał, jak ten, przez który teraz jedzie; że z pośród drzew tu rosnących wysuwa się wilk i zaczyna ludzką mową wypytywać o babcię i drogę do jej chatki.

Fantazja unosiła Magdusię coraz dalej od rzeczywistości, coraz dalej: nie widziała już ani ojca, ani woźnicy, ani konia; czuła się sama jedna w okropnym,

ciemnym lesie i strach ją ogarniał nie na myśl o prawdziwym wilku, ale o tamtym z bajki.

Strach ten nagle powiększył się i jakby ze snu zbudził, a to pod wrażeniem dziwnego postępowania woźnicy. Zaczął ni stąd ni zowąd rozglądać się z widocznym niepokojem, na chwilę zatrzymał konia, utkwił wzrok w zarośla i raptem machnął batem z całej siły.

— Nnnu! a!

Między drzewami coś mignęło.

— Wilk! — szepnęła Magdusia, przytulając się do ojca.

— Gorzej wilka — mruknął woźnica.

Wtem z zarośli wysunęła się starowina w żółtej postrzępionej spódnicy i niebieskim łatanym kaftanie. Z pod chustki, a raczej szmaty, okrywającej głowę, wysuwały się brudno-siwe włosy. Baba otworzyła szeroko bezzębne usta i przyśpieszywszy kroku, stanęła przed koniem z rozkrzyżowanemi rękami.

Koń przestraszony zatrzymał się, jak wryty.

— Uciekâj! — zawołał woźnica.

— Aahaa!.. — roześmiała się kobieta — uciekaj? przed kim? przed tobą?

Chłop targnął lejce.

— Nnu!.. a!..

Koń chciał ruszyć, ale baba trzymała go już za uzdę.

Woźnica uderzył konia. Napróżno.

— Poszła won! a to batem!

— Ot, kiedy prędki do bata!

— Tak idź w swoja strona i nie zagabâj.

— Oddasz czy nie?

— Nie.

— On nie twój.

— I nie twój.

— Ja przyjdę z takim, co u jego prawo jest.

— Przyjdź. Obaczym, jakie to prawo.

— Dobre prawo. Papier gierbowy z carskim orłem.

— Widział ja takie papiery, a dlatego nie ważne.

Teraz Polszcza. Carski orzeł nic nie świadczy. Isz ją!.. Myśli, jak carskiego orła pokaże, tak ja się przestraszę.

— A jak ja czary rzucę i u jego talent muzykancki odejmę? Tak co? Ehe! Już on nie będzie tobie hroszy co niedziela znosił.

— Nie odejmiesz, nie twoja siła.

— Ja dała i ja zabiorę...

Baba, rozgadawszy się, popuściła uzdę. Woźnica spostrzegł to, dał nagle koniowi batem, ten pchnął kobietę hołoblą i ruszył po twardej drodze z kopyta.

Szybko przebyli gęstą część lasu, a niebawem wjeżdżali między płoty ogrodów warzywnych.

— Boluk, odkrywaj bramku! — zawołał woźnica, mijając chałupę, przed którą stał chłopiec w szarym kaftanie i starej żołnierskiej furażerce.

Wkrótce okrążali klomb i stanęli przed werandą dużego drewnianego domu.

4. NA PASTWISKU.

już od tygodnia Magdusia mieszkała w Wieczoryszkach. Maleńką tę osadę, ze wszystkich stron otoczoną lasami, stanowił duży dom nadleśnego, oraz cztery mniejsze chaty z zabudowaniami gospodarskiemi. Oprócz rodziny nadleśnego, złożonej z pana, pani i dwuletniej „Krysi leśniczanki", cała ludność Wieczoryszek składała się tylko z leśniczego, oraz rodzin: sekretarza, gajowego i stróża. Nie brakło w każdym razie dzieci różnego wieku i można sobie było do wszelkiej zabawy dobrać odpowiednie towarzystwo. Mała Jóźka, córka stróża i woźnicy Pawła, która pędziła krowy na pastwisko, bardzo chętnie korzystała z towarzystwa i pomocy Magdusi. Dawała jej jałowcową witkę i pokazywała, jak bydło zaganiać.

— Tylko — mówiła — nie trzeba się bać. Nigdy się nie bój. Choćby krowa bodła, ty na nią śmiało i z krzykiem. Wtedy ona się ciebie będzie bała. A raz zlękniesz się — tak już nigdy ciebie słuchać nie zechce.

To powiedziawszy, Jóźka — aby dać dowód, co znaczy śmiałość — odrzucała bat i machając, jak śmigami wiatraka, rozłożonemi szeroko rękami, pędziła z piekielnym wrzaskiem prosto na olbrzymiego, groźnie patrzącego byka. Zwierzę przez chwilę stało ze spuszczonym łbem, na którym sterczały w bok krótkie proste rogi, jakby decydowało się przyjąć walkę. Ale Jóźka rozpoczynała tak warjackie skoki, że byk tracił pewność siebie, niespodzianie odwracał się i zmy-

kał, jak ostatni tchórz. Przy tej zabawie nieraz Magdusi dobrze serce biło, zwłaszcza gdy byk, uciekając przed Jóźką, zawracał w jej stronę. Oględnie zbliżała się wtedy do najgrubszego drzewa, by w razie niebezpieczeństwa szukać za niem schronienia, albo znikała przezornie w gąszczu leszczyny. W końcu jednak nabrała takiej samej, jak Jóźka, fantazji. Ale nie tu kończyły się awanturnicze z pastuszką wyprawy. Dziewczyna była drobna, sucha, ale bardzo mocna i zwinna. Magdusi wypadało nieraz przezwyciężać strach, by dotrzymywać towarzyszce kroku. Bo jakże nie wleźć na trzeszczące drzewo, gdy tamta skacze po gałęziach i rwie orzechy laskowe?.. Jak nie przeleźć przez strugę, gdy Jóźka śmiało przeprawia się po mostku, zrobionym ze zwalonej sosny? Pień kołysze się i kręci pod bosemi stopami, ale jeśli nie na dwu nogach, to choćby na czworakach przejść trzeba. Przecież Magdusia sama nie zostanie w nieznanej zupełnie części lasu: musi iść dalej za Jóźką i za krowami, wbród przechodzącemi wodę.

Drugą towarzyszką była Wikta, młodsza siostra Jóźki. Miała jasną twarzyczkę i płowe proste włosiny, czem różniła się od starszej — ogorzałej szatynki. Sukienkę nosiła prawie długą, podnoszącą się z przodu na zbyt odętym brzuszku. Była znacznie spokojniejsza od Józi — ale doskonale wiedziała, gdzie jest najwięcej jagód, gdzie szukać poziomek, gdzie maślaków, kurek lub grzybów prawdziwych... Nieraz więc Magdusia zapuszczała się z nią w las, zupełnie zapomniawszy o wilku i strasznych przygodach Czerwonego Kapturka.

Najmniej pociechy było z Maryni, małej blondynki, jedynaczki gajowego Piotra. Wątła, pieszczona przez rodziców, prawie nie różniła się od miejskich dziewczynek. Ale że była grzeczna i ustępliwa, więc dawała się czasem wciągać nawet do awanturniczych wypraw Jóźki, która w pomysłach nie ustępowała chłopakom.

Tych było tu czterech.

Najstarszy, Kaziuk, syn stróża niczem szczególnem się nie odznaczał: miał lat szesnaście, w rodzinie uważany był za prawie dorosłego i często dostawał od ojca

swego po karku za to, że zaniedbywał się w robocie, którą stary zwykle na niego zwalał. Chłopak jednak wolał łowić ryby, sypiać po kilka godzin w południe, lub wałęsać się z kąta w kąt.

Zupełnem jego przeciwieństwem był młodszy brat, Boluk. Uprzejmy, wesoły, pracowity, cały dzień krzątał się, pomagając matce i ojcu w gospodarstwie. Nawet z powierzchowności nie był nic a nic podobny do Kaziuka. Znacznie drobniejszy, miał twarz delikatną, zawsze uśmiechniętą, a z dużych piwnych oczu biła wrodzona inteligencja.

Oprócz tych dwu chłopców, byli jeszcze dwaj synowie sekretarza: Stasiek, zupełnie mały blondynek, prawie nie opuszczający rodzinnego podwórza, i Michałek, starszy od Boluka, napozór spokojny, ale chętnie zawsze biorący udział we włóczęgach Kaziuka, towarzyszący mu w figlach przy pławieniu koni lub łowieniu ryb. Łowienie to odbywało się bez wędki, ale siecią lub karabinem. Osobliwy to sposób. Jeden chłopak staje nad rzeką z bronią nabitą i czeka. Inni czatują, gotowi skoczyć do wody, i rzucają kawałki chleba lub robaki. Gdy pojawi się większa ryba—pierwszy chłopak strzela, tamci zaś wpadają do wody i wydobywają ogłuszone ryby. Polowanie takie urządzano najczęściej na tłuste pstrągi, nierzadkie w Mereczance. Śliczna ta rzeczka, o wodzie kryształowo czystej i bardzo bystrym prądzie, wije się dziwacznie przez łąki i lasy puszczy Rudnickiej, opasując Wieczoryszki ze strony wschodniej i południowej. Gdy Magdusia zapragnęła pewnego dnia wziąć udział w takim połowie, Michałek powiedział, że to nie dla dziewczyny.

Ale nietylko za to nie bardzo lubiła tego chłopca. Drażniła ją pani sekretarzowa, wmawiająca Michałkowi, że jest on czemś lepszem od Boluka. A tymczasem Magdusia wiedziała, że Boluk ma szlachetniejszy charakter. Michałek najwyżej tyle był wart, co Kaziuk.

Towarzystwo Boluka było najprzyjemniejsze. Chłopak nieźle grał na skrzypcach, jakkolwiek nikt go nie uczył. Wygrywał więc Magdusi rozmaite piosenki i żalił się, że nie zna nut. Ba! gdyby znał! Wszystko, wszystko

by potrafił wygrać! Dziewczynka postanowiła więc pokazać mu nuty, bo już uczyła się grać na fortepianie. Boluk był jej za to bardzo wdzięczny i najrozmaitsze oddawał usługi. Gdy Paweł jechał po mech do lasu i wziął ze sobą Boluka, ten uprosił ojca, by zgodził się zabrać i Magdusię. Gdy pędził konie na łąkę w głąb lasu, sadzał dziewczynkę na gniadą spokojną kobyłę, a sam jechał tuż za nią na kasztanku i pilnował, żeby się panience co złego nie stało.

Było wtedy bardzo, bardzo przyjemnie.

Razu jednego, gdy siedzieli na pastwisku i rozmawiając opędzali się rojom bąków i komarów, jakaś dziwaczna postać wysunęła się z lasu i machając wielką gałęzią, zaczęła zbliżać się do dzieci.

— Kto to być może? — zapytała Magdusia.

Boluk zerwał się na równe nogi i osłaniając dłonią oczy, bo je oślepiało południowe słońce, rzekł z widocznym niepokojem:

— To Jadwisieńka-Oleńka. Mówią, że durna, ale ona czarownica.

— Boisz się jej?

— Widzisz, jak ja jeszcze nie miał trzech lat, ona była mnie porwawszy.

— Jakto, porwała cię?

— A tak. Wodziła po jarmarkach, po odpustach... Aż mnie ojciec spotkał i odebrał. Tylko ty tego nie powiadaj nikomu. Ojciec nie pozwala.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Nie pozwala. Ja tylko tobie jednej mówię, a tak nikomu.

— A Kaziuk wie?

— Wie, ale ojciec i jemu zakazał. Wie także Jusiel, że starego przyjaciel. Inni nie wiedzą; my tutaj niedawno. Przedtem ojciec był gajowym w Porakieciu, a tam chata jedna w puszczy; sześć wiorst przejdziesz, człowieka nie obaczysz...

Baba szła łąką na przełaj, stawiając coraz większe kroki. Wtem Magdusi mignęło w myśli, że już raz tę dziwną postać widziała. Starała się przypomnieć sobie gdzie to było, gdy usłyszała głos Boluka.

— Chodź! Prędko, prędko!

Podsadził ją na kobyłę; sam szybko wdrapał się na kasztanka, uderzył go mocno bosemi piętami i oddalił się kłusem. Klaczka, trzęsąc Magdusię, pośpieszyła za nim.

— Poczekaj! — wołała baba — Nie śpieszaj! mam gościniec dla ciebie! Hej, dam gościniec!

Krzyczała coś dalej, ale głos jej cichł, głuszony tętentem kopyt. Dopadli lasu. Boluk obejrzał się, uśmiechnął i wstrzymał konia.

5. GOŚCINIEC JUSIELA.

zy lękasz się, żeby cię Jadwisieńka-Oleńka znowu nie porwała? — spytała Magdusia Boluka.

— Nu, nie! Ja by teraz nie dał się.

— To czemu przed nią uciekasz?

— Ona chce mnie zuroczyć, żeby ja grać zapomniał.

— E, kto to wierzy w uroki?

— Jakże! Toż ona raz już zuroczyła. Tylko ojciec na mszę dał, tak i nie wyszło nic. Drugi raz jej może udać się. A ja na weselach gram i niekiedy dużo pieniędzy do domu przynoszę. Za to ojciec lepszy dla mnie, czem dla Kaziuka: odziewa pięknie, nie bije...

Jechali wolno przez las krętą drożyną. W dali przeświecało już pole, gdy zauważyli idącego przed nimi człowieka. Szedł, utykając nieco na prawą nogę, a na głowie miał mundurową czapkę gajowego, z zielonym lampasem.

Boluk popatrzył uważnie i rzekł po chwili:

— To stary Jusiel. Musi, do pana nadleśnego idzie.

— On kulawy?

— Trocha kulawy. Dawno już, dzik jemu nogę poszarpał. Ze wszystkich gajowych najpierwszy myśliwy.

I Boluk opowiedział słynną historję Jusiela, który dzięki niej stał się niejako bohaterem puszczy. Oto razu jednego odbywało się tu wielkie polowanie, na które sam gubernator z Wilna przyjechał. Zmobilizo-

wano wszystkich gajowych, którzy mieli wypłoszyć z legowisk i pędzić na myśliwych zwierzynę. Szło przedewszystkiem o dziki, a zwłaszcza o jednego olbrzymiego odyńca, wielkiego szkodnika i zuchwalca. Miał mieć blizko 2 łokcie długości, a na wysokość od cielaka nie mniejszy; z każdej strony ryja błyszczała mu para ogromnych, zakrzywionych kłów, któremi niejednego już ogara rozdarł. Nieraz ten i ów gajowy próbował dzika owego pokonać, ale nie udawało się. Zwierz był nadzwyczaj czujny, zmyślny, zasadzek zręcznie unikał, a kule jakoś ześlizgiwały się po nim, że aż mówiono o czarach.

Otóż właśnie podczas gubernatorskiego polowania odyniec, uchodząc przed naganką, wyszedł wprost na stanowisko Jusiela. Gajowy, mając zakaz strzelania (bo to było przywilejem tylko zaproszonych gości) rzucił się ku zwierzęciu i zaczął je kolbą okładać, by pognać w pożądanym kierunku. Ale rozwścieczony potwór — ranny już, jak się później okazało — natarł śmiało na swego prześladowcę i przyskoczywszy, nagłem uderzeniem kła rozdarł mu nogę. Jusiel nie dał za wygraną: jednym susem znalazł się na grzbiecie dzika i waląc dalej kolbą, wjechał na nim prosto przed gubernatora. Tu dopiero zeskoczył, dając możność dostojnikowi własnoręcznie zwierzę zastrzelić.

Ale rana, którą zadał odyniec okazała się bardzo ciężką. Gajowego musiano przewieźć do Wilna, gdzie mu lekarze nogę połatali. Odtąd kulał.

Cała ta opowieść bardzo Magdusię zajęła. To też skoro zrównała się z idącym, zaczęła mu się ciekawie przyglądać. Ujrzała siwego mężczyznę o krótkich kędzierzawych wąsach i jasno niebieskich oczach. Spostrzegłszy dziewczynkę, przytknął po wojskowemu dwa palce do czapki.

— Dzień dobry — rzekł — panienka, musi, w gości u pana nadleśnego.

— Tak.

— Z Warszawy?

— Z Warszawy.

— Ot, chwała Bogu, my teraz już razem.

— A co to niesiecie? — wtrącił Boluk.

Tu dopiero zauważyła Magdusia, że Jusiel przytrzymywał mocno lewą ręką małe zawiniątko, w szarym łachmanku, jakby się bał, by nie uciekło. Spostrzegła też, że istotnie zawiniątko poruszyło się kilka razy, jak żywe.

Jusiel zacisnął mocniej łachmanek.

— A ot gościniec panu nadleśnemu niosę.

— Jakiż to gościniec? — spytał Boluk.

— Co ty taki ciekawy? Przyjdę, rozwinę, obaczysz.

Ku zadowoleniu zarówno Magdusi, jak Boluka, las się właśnie skończył. Minęli zagrodę gajowego Piotra, potem stróża Pawła i zeskoczywszy ze swych wierzchowców, wprowadzili je na podwórze nadleśnictwa. Chłopak musiał jeszcze konie napoić i wegnać do stajni, ale Magdusia już mu w tem nie pomagała, podążając prosto za Jusielem. Zaraz dopadł go z głośnem ujadaniem Bobik, żółty zajadły kundel i nie dawał się Magdusi odpędzić. Wreszcie, podskoczywszy kilka razy do zawiniątka, a nie mogąc dostać, wpadł w taką wściekłość, że chwycił Jusiela za brzeg kapoty i szarpał nią, opierając się ze wszystkich sił przedniemi łapami. Nie było rady, trzeba było pana Bobika wziąć na łańcuch.

Dopiero wtedy mógł gajowy rozwinąć swą paczkę.

Na widok jej zawartości, Magdusia aż klasnęła w ręce. Bo oto z łachmana wyjrzało szparowatemi źrenicami dwoje żółtych ślepi. W zawiniątku był młody, kilkotygodniowy lis z wypukłem czołem, wąską mordką i puszystym ogonem. Rozglądał się nieufnie zpodełba, a gdy go chciał kto pogłaskać, rozchylał czarne wargi i błyskał ostremi białemi zębami. Mimo to, udało się nałożyć mu obróżkę, poczem przywiązano do płotu obok wywróconych sani, które w razie deszczu mogły za schronienie służyć. Lis jednak nie czekał na zmianę pogody, ale odrazu wślizgnął się do kryjówki.

Tymczasem dokoła niego zebrał się już tłum ciekawych. Kaziuk postanowił wywabić lisa. A gdy żadne jego cmokania, gwizdania, ani przyjazne słówka nie skutkowały, chwycił za sznurek i zaczął ciągnąć. Równocześnie Jóźka bębniła pięściami po dnie sań, by zwierzę wystraszyć. Niebawem ukazał się żółty łebek szczenięcia, które leżało na boku i tylko siłą wlec się dawało.

— Boże-ż ty mój! — zawołała Pawłowa, podżyła czerstwa kobieta w białej kosynce na głowie. — Biedactwo! Mleka by jemu dali.

Porwała się zaraz służąca nadleśnego, Stefcia, i za chwilę podsunęła lisowi miseczkę. Ale zwierzę ani drgnęło. Przylgnąwszy do ziemi, jak warujący wyżeł, wodziło po obecnych szeroko otwartemi ślepiami, z których biła wyraźnie chytrość i nieufność.

— Jak wy jego, Jusiel, dostali? — pytano.

— A ot, zwyczajnie, w lesie nalazł.

Zaczęły się rozmaite komentarze i domysły. Niektórzy twierdzili, że musiał ktoś matkę zastrzelić; inni, że poprostu odbił się od rodziny i zabłądził. Na to zauważył Paweł, że gajowy powinien teraz dobrze kur swoich pilnować, bo stara wywącha, kto szczeniaka zabrał i będzie się mściła.

— U jej nos, oho!

Posypały się różne opowieści i anegdoty o nadzwyczajnym lisim sprycie. Ten i ów, przypomniawszy sobie nagle jakąś dawną stratę gęsi czy kurczęcia, złowrogo spoglądał na szczenię, które wciąż leżało bez ruchu i bacznie obserwowało zebranych, tak, że miało się wrażenie, iż każde słowo rozumie i z uwagą wszystkiego słucha.

— A wychowa się to?

— Czemu nie! U mnie był lis dwa lata; domu, jak pies, pilnował, aż wziął i uciekł.

— A mleka pić nie chce.

— Możeby jego do naszej suki przystawić? — zaproponowała Pawłowa. — U jej tylko jeden szczeniuk. Wykarmi.

— Nu, nie! Zagryzie.

— Niewiadomie — odrzekła kobieta — drugi raz przybrane dziecko nie gorsze własnego.

To rzekłszy, przygarnęła stojącego właśnie obok niej Boluka.

— Nu, idź ty już do chaty — burknął z nagłem niezadowoleniem Paweł. — Bresze sama nie wie co.

Zwolna ludzie porozchodzili się. Lisek pozostał sam. A Magdusia, odsunąwszy się nieco, by go nie niepokoić, widziała z zadowoleniem, jak — pozbywszy się galerji — wychłeptał prawie całą miseczkę mleka.

6. STRZAŁ BOLUKA.

ni były upalne. Las dyszał mocnym aromatem żywicy. Nad jasno-różowemi polami gryki masami unosiły się pszczoły, nad Mereczanką — niezliczone roje komarów. Ale wobec panującego skwaru, nie odstraszały one Magdusi od kąpieli.

Ach, co to była za rozkosz ta kąpiel.

Dom od rzeki dzieliły wszystkiego trzy minuty drogi. Szło się najpierw kawałeczkiem lasu, zamienionym na rodzaj parku, bo były w nim białe brzozowe ławki i kanapy z darniny, mijało się „banię“ (samotną chatę, przeznaczoną na łaźnię) i oto już — Meraczanka. Ale że w tem miejscu brzeg był bardzo wysoki, porosły gęstemi krzakami i trzciną, więc należało iść jeszcze nieco dalej, przez łąkę. Do właściwego miejsca prowadziła wąska, wydeptana w trawie ścieżka. Idący nią ludzie wyglądali, jakby pływali po jakiemś kwiecisto-zielonem jeziorze. Głowy im tylko wystawały. Dokoła złociły się jaskry i brodawniki, kołysały się fioletowe dzwonki, tu i owdzie wychylały główki bratki polne, zawsze po dwa, z których jeden różnił się od drugiego blado-żółtym płateczkiem... Ponad wysokie trawy strzelały, białe płaskie parasolki krwawnika i dzikiej pietruszki, to znów potrząsał żółtą strzępiastą brodą dziad-miodnik, a gdzie spojrzeć przebłyskiwała smugami liljowa czerwień koniczyny i chabrów łąkowych, to znów żółtem okiem biały jastruń wyzierał.

Po łące tej lubiły spacerować bociany. Widać im było tylko poruszające się w takt chodu długie białe

szyje, niemniej długie czerwone dzioby i jedynie, gdy ptak głowę zanurzał w trawie, wypływał po nad nią czarny tył białych skrzydeł.

Ścieżka na końcu rozszerzała się. Udeptana trawa pokrywała tu zbiegający łagodnie ku wodzie placyk, na którym można już było rozebrać się i wygrzewać na słońcu. Tu też zatrzymywała się Magdusia w towarzystwie, jeżeli nie paru dziewcząt, to najczęściej Jóźki. Ta bowiem nie opuszczała żadnej sposobności, by się wypluskać w rzece, a pływała nie gorzej od chłopaków i śmiało rzucała się nawet do „bucht“ najgłębszych. Buchtami nazywano dziury w piasczystem dnie Mereczanki, przeważnie dość płytkiem i widocznem po przez kryształ wody.

To też kąpiel polegała głównie na gonieniu się i wzajemnem ochlapywaniu, któremu towarzyszyły głośne śmiechy i krzyki. Figlarz-Jóźka starała się zawsze taki prysznic urządzić Magdusi, by ta, dech straciwszy, zmuszona była uciekać. Wtedy zwyciężona kurczyła się, zasłaniała twarz rękami, a Józia pędziła za nią, ochlapując jej plecy, dopóki Magdusia nie wydostała się na trawę. Sztuka ta jednak udawała tylko się do czasu, bo gdy Magdusia oswoiła się z figlem, często z napastowanej przemieniała się w napastnicę, aż wreszcie Jóźka uznała w niej rywalkę, godną stać się sprzymierzeńcem. Odtąd rzucały się wspólnie na starsze dziewczęta: Stefcię, służącą nadleśnego, i Frankę od sekretarza. Walka była wtedy trudną, zawziętą i często kończyła się kapitulacją małych napastnic.

Jak Magdusia szła do kąpieli tylko z Wiktą, zabawa była daleko spokojniejsza: polegała jeno na przywabianiu i płoszeniu maleńkich rybek, które w dni słoneczne gromadziły się tysiącami tuż pod powierzchnią wody na płytkim brzegu. Gdy dziewczynka wchodziła do rzeki, umykało to mrowie we wszystkie strony. Lecz wystarczało postać chwilkę spokojnie, a rybki wnet powracały, oblegały nogi kąpiących się i stukały o nie pyszczkami, jakby próbowały, czy to nie zdatne do jedzenia. Wystarczało wtedy uczynić najlżejszy ruch, by całe rojowisko pierzchało z błyska-

wiczną szybkością. Wiktę to tak bawiło, że zanosiła się od śmiechu.

Magdusię mniej. To też kąpiele w towarzystwie Wikty nie przeciągały się nigdy tak długo, jak z Jóźką i Magdusia nie tak je lubiła. Niesłusznie jednak, bo Wikta — jak już powiedziano — była bardzo spostrzegawcza: znała nietylko tajemnice lasu i obyczaje małych rybek, ale też wiele innych rzeczy, a już do naśladowania różnych ptasich głosów jedyna była.

Magdusia wycierała się właśnie, wyszedłszy z rzeki, gdy Wikta, która nigdy nie używała ręcznika i ubierała się „na mokro" — przerwała nagle wdziewanie sukienki i wytężywszy wzrok, zapatrzyła się w jakiś punkt na niebie.

— Co ty tam widzisz?

— Popatrzaj-no, korszun. — Tu dziewczyna palec podniosła wysoko.

Spojrzała Magdusia do góry, ale zpoczątku nic nie dostrzegła. Dopiero po dobrej chwili zauważyła mały czarny punkcik gdzieś pod samą lazurową kopułą.

— Schowajmy się! — szepnęła Wikta, padając na czworaki. Po chwili wsunęła się w krzak, nieco dalej na brzegu rosnący. Magdusia spiesznie narzuciła sukienkę i podążyła za Wiktą. Obie wlepiły oczy w punkt czarny; ten zaś powiększał się, powiększał coraz bardziej, aż wreszcie przemienił się w ptaka o wielkich, szeroko rozpostartych skrzydłach. Nie machał niemi, a opuszczał się ku ziemi linją świdrowatą, przyczem chwilami, zda się, nieruchomo zawisał w powietrzu.

— Ot, kiedy by jego złowić! — westchnęła Wikta. — On u nas już pięć kur i kogutka porwawszy.

Nagle jastrząb rzucił się w dół, jak kamień. Dziewczynkom zdawało się, że tuż obok nich spadnie, lecz było to złudzenie. Ptak znikł w trawie conajmniej o sto kroków od nich.

Wikta ostrożnie powstała i bystrem spojrzeniem starała się wymierzyć odległość oraz zapamiętać, w której części łąki szukać drapieżnika.

Raptem odwróciła się, usłyszawszy jakieś kroki.

Po drugiej stronie rzeki szedł Kaziuk, niosąc karabin w ręku. Za nim postępowali Boluk i Michałek.

— Wy na ryby? — krzyknęła Wikta.

— Aha! — potwierdził Kaziuk. — Tu w jednem miejscu widzieli fajna sztuka. Może my jej zabijem.

— A ci wiesz ty? korszun tu niedaleko.

— Gdzie?

— Wo, tam, gdzie bagno i trzciny widać. Jego wy by zabili. Znowu wczoraj u Pietraszuna kurę zachwycił.

Kaziuk pokręcił głową.

— W locie — rzekł — nie popadnie z karabina.

— Daj, sprobujem — odezwał się spokojnie Boluk i zakasał spodnie. Wziął strzelbę, a trzymając ją oburącz wysoko nad głową, wszedł w wodę. Po chwili przedostał się na przeciwny brzeg. — Ty, Wikta, udawaj kuropatwa — rzekł i jął ostrożnie pełzać w kierunku, wskazanym przez siostrę.

— Titi-rik!.. titi-rik!.. titi-rik!.. — rozległo się obok Magdusi. Była pewna, że ptak, a to Wikta tak łudząco naśladowała głos kuropatwy.

Wtem, niespodzianie wyleciawszy z trawy, nad łąką znów pojawił się jastrząb.

— Titi-rik!.. titi-rik!.. — głośniej powtórzyła Wikta.

Huknął strzał.

Z zieleni wychyliła się głowa i ramiona Boluka.

Ptak nie płynął, jak przedtem. Machał gwałtownie skrzydłami, a po chwili zaczął opuszczać się na dół.

— Dostał! — zawołał Kaziuk z przeciwnego brzegu; poczem, śladem Boluka, jął przeprawiać się przez rzekę; Michałek wolał przejść przez most, choć był dość daleko. Stanowiły go dwa grube bale sosnowe i poręcz.

Wikta odszukała zabitego ptaka i po chwili całe towarzystwo wracało tryumfalnie do domu. Na przedzie szedł Michałek, który wyrwał pióro ze skrzydła jastrzębia i przypiął sobie do czapki. On też pierwszy wszedł do kancelarji nadleśnictwa.

— Zabiliśmy korszuna — oświadczył panu nadleśnemu.

— Czemeście zabili?
— Karabinem.
— Któż to taki strzelec?
— Boluk! — krzyknęła Magdusia.
— Oho!.. Toś ty zuch, mały — i pan nadleśny poklepał chłopca po ramieniu.
— Maładiec! — dodał gajowy Piotr, kręcąc z podziwem głową — z karabina popadł!.. oho!
Boluk uśmiechnął się zadowolony, Magdusia promieniała.

7. WAŻNA ZDOBYCZ.

ad polami, nad łąkami zachodziło słońce. Ale w głębi puszczy noc już zapadła głęboka. Poprzez zastępy grubych pni, poprzez gąszcze zarośli przedostać się nie mógł ani jeden promyk ukośnie, zniska świecącego słońca. Więc umilkło szczebiotliwe ptactwo, ustało kołatanie dzięcioła i tylko od czasu do czasu rozlegał się chichot szatański puszczyka.

Nie przerażało to Jadwisieńki-Oleńki. Przez gąszcze przedzierała się śmiało, choć często potykała się o korzenie i pnie drzew zwalonych, choć kolczaste gałęzie nieustannie biły ją po twarzy. „Durna“ w lesie czuła się, jak w domu, tylko w nim sypiać nie lubiła. Póki trzymała się na nogach, przekonana była, że jej się nic złego stać nie może: że znanemi sobie zaklęciami potrafi nawet zgłodniałego wilka onieśmielić i precz odegnać. Ale strach ją ogarniał, gdy zmuszona była w głębi puszczy szukać legowiska i powierzać się na czas snu łasce Opatrzności. Lęk ten miał bardzo realną przyczynę, dobrze nawet znaną w okolicznych zaściankach. Oto razu jednego Jadwisieńka-Oleńka, zabłądziwszy w noc bezksiężycową, ułożyła się na spoczynek w miejscu, jak mniemała, zupełnie bezpiecznem. Nagle zbudził ją ze snu ból taki, jakby całe ciało owijano materją, najeżoną szpilkami. Zerwała się i zaczęła uciekać, zdzierając ze siebie szmaty, w które odzianą była. Nie pomagało. Prawie naga wydostała się z lasu, lecz prześladujący ją niewidzialny upiór dalej kłuł ciało tajemniczemi igłami. Tarzała się w trawie, rzucała zaklęcia — wszystko daremnie. I dopiero nad ranem babina spostrzegła, co się stało. Oto zasnęła na mrowisku, a zaniepokojone i mściwe owa-

dy pokryły literalnie całe jej ciało, gryząc je i rwąc bez miłosierdzia.

Przekonała się wówczas, że znane jej zaklęcia wcale przeciw mrówkom nie skutkują, stworzonka te uznała za najpotężniejsze w puszczy istoty i unikała z niemi spotkania, zwłaszcza w porze nocnej.

Śpieszyła więc i teraz, chcąc się z lasu wydostać, zanim senność jej nie obezwładni, a w chatach nie pogasną światełka.

Jadwisieńka - Oleńka nie mieszkała nigdzie. Wprawdzie najchętniej i najczęściej spędzała noce w smolarni, ale niezawsze dotrzeć tam mogła przed zapadnięciem nocy. Smolarnia owa mieściła się daleko od wszystkich siedzib ludzkich, śród prawie nie dających się przebyć moczarów. Wiodły do niej tylko dwie kręte drożyny, mało komu znane. Właściciel smolarni, olbrzymie czarne chłopisko — cygan podobno z pochodzenia — uchodził za złodzieja leśnego, który tylko drobną część zużywanego drzewa nabywał legalnie; resztę zaś kradł po nocach, zapuszczając się w oddalone części puszczy. Gdy pewien gajowy przyłapał go na bezprawnem wyrąbywaniu drzewa (a było to jeszcze za czasów rosyjskich) i zamierzał donieść o swem odkryciu władzy — nim zdążył to uczynić — znikł bez wieści. Zarządzone śledztwo nie zdołało wyświetlić sprawy, a tymczasem Rosjanie i ich sądy opuścili kraj. Steroryzowani gajowi patrzyli odtąd przez szpary na gospodarkę smolarza, który woził do Wilna całe fury węgla drzewnego, pobierał zań olbrzymie ceny, a drzewa na tę fabrykację prawie nie kupował. Opinja smolarza była coraz gorszą: mówiono o jakichś jego konszachtach z bandami litewskiemi, o przechowywaniu szpiegów bolszewickich, prawie napewno zaś było wiadome, że ukrywa on wiele przedmiotów, pochodzących z grabieży, a z koniokradami i innymi rzezimieszkami w najlepszej żyje komitywie.

Jakie stosunki wiązały smolarza z Jadwisieńką-Oleńką — było tajemnicą. Domyślano się, że musiał jej do czegoś używać i to powiększało groźny urok wiedźmy.

Po długiem kołowaniu baba spostrzegła wreszcie przeświecające nisko między drzewami niebo. Ruszyła prędzej i wkrótce stanęła na brzegu niewielkiej polany, ciasno ze wszystkich stron otoczonej borem. W samym środku polany błyszczało światło i majaczyły czarne kontury chaty.

Kobieta zawahała się: iść dalej, czy też się cofnąć. Poznała zagrodę największego śród gajowych śmiałka — starego Jusiela. Wiedziała, że jest to jedyny człowiek w puszczy, który nie lęka się smolarza i gdyby smolarnia w jego znajdowała się rewirze albo by wypłoszył złodzieja, albo sam padł w walce. Jusiel w dodatku był kumem i przyjacielem stróża Pawła, z którym — jak już wiemy — „durna“ miała niezałatwione porachunki.

Ale spojrzawszy na niebo, iskrzące się gwiazdami, z których co pewien czas odrywała się jedna od swego miejsca i zatoczywszy olbrzymi łuk po niebie, spadała za las — baba zdecydowała się iść naprzód.

Gdy zbliżyła się do zagrody, wypadł ku niej z głośnem ujadaniem kundel, któremu nadstawiła swój kij sękaty. Wnet w okienku ukazała się twarz kobieca, potem męska i na ganek wyszła jakaś postać.

— A kto?

— Dobrerabiwszaja, wsiowiedaja... — zawołała kobieta.

— Oleńka!.. Uż ty dobrerabiwszaja... A czego?

— Każe u ciebie tiałuszka chwareje.

— Tak co?

— Przyszła obaczyć, może radę dam.

— Czemu tak późno?

— Raniej nie pośpieła. Daj zanocować.

— A żywioła nie zuroczysz?

— Zuroczyła — spotkasz — zastrzel. Co długo tołkować!

— Nu, pomni!.. Z Jusielem żartów niema. Kto jego skrzywdzi — samego siebie skrzywdzi. Ja nie daruję.

— Wiem, kochanieńki, wiem. Toż ja z pomocą k'tobie, a nie z krzywdą.

Wpuścił babę do izby. Pokłoniła się gospodyni, dwu córkom i synowi. Skończyli właśnie wieczerzę i na stole stygła reszta kartofli w dużej glinianej misie.

— Może być, głodna? — spytała matka rodziny.

— Wiadomie, że nie syta. Ugościcie—podziękuję.

Nalano kwaśnego mleka. Wiedźma łapczywie rzuciła się na nie. Jadła mleko sczerniałą drewnianą łyżką, a kartofle chwytała palcami i wpychała sobie do bezzębnych ust niemal w całości. Zaspokoiwszy pierwszy głód, pełnemi wciąż ustami zaczęła opowiadać kobietom rozmaite plotki: że Kaźmiera Zajulanka na św. Annę piękną suknię z Wilna „była sobie sprowadziwszy"; że Użdawinis córkę zamąż wydaje; że u Daukszewicza konia ukradli; że „u Połubianki krowa ocieliwszy się"; że w Żegarynie od pioruna gumno spaliwszy się; że na drodze do Wisińczy wilki nocami wyją...

Wszyscy uważnie nowin tych słuchali, tylko Jusiel myślami zgoła gdzieindziej błądził.

— Nu, pora spać — zawołał niespodzianie.

Wskazał babie, gdzie się ma w sieni położyć i kazał synowi podesłać jej siano. Pozamykano furtki i drzwi, zgaszono światło i cała chata wkrótce pogrążyła się w twardym, głębokim śnie.

Nikt nie słyszał ostrożnego szurania bosych nóg starego Jusiela, ani lekkiego skrzypnięcia drzwi, wiodących do sieni. Bawił tam niedługo. Potem cichutko odemknął drzwi wejściowe i przywarłszy je tylko, wysunął się na podwórze, oblane jasnym blaskiem pełnego księżyca. Rozwinął szarą szmatę i wydobył z niej duży arkusz papieru. Obejrzał go ze wszystkich stron i mruknął:

— Ten. Dobrze. Paweł mnie za to ul pszczół dać musi.

Znikł na chwilę w stajni, a gdy z niej wyszedł, ręce miał już puste. Zamknął stajnię mocno na dwie kłódki, poczem wolnym krokiem wrócił do chaty i, jak przedtem, cichuteńko drzwi pozamykał.

Jadwisieńka-Oleńka spała, chrapiąc głośno. Tylko leżące obok niej szmaty, powyrzucane z żebraczego worka, świadczyły, że ktoś tu gorączkowo plondrował.

8. TAJEMNICZY PAPIER

o wielkich skwarach przyszedł dzień dżdżysty. Niebo całe okryła ołowiana szarość, las poczerniał, a żółtawe pnie sosen ledwie się na ciemnem jego tle jaśniejszemi smugami znaczyły.

Na podwórzu wiatr łomotał wrotami długiej drewnianej szopy, mieszczącej razem odrynę, oborę (tu chlewem zwaną) i stajnię. Drobny deszcz siekł tak natrętnie, tak jednostajnie, że znudził nawet świnię, choć zawodowo lubowała się w błocie. Z natury była jasną blondynką, jednak codzień inny bok miała umazany na czarno. Ale teraz chwilami tylko ukazywała się na podwórzu; przeważnie wolała siedzieć w przeznaczonym dla siebie kącie obory i rzadko rozlegało się jej chrząkanie lub sprośny, bez powodu rozpaczliwy kwik.

Bobik, typowy łobuziak, nie mogący przejść obok żadnego bydlęcia, by mu figla nie spłatać, wałęsał się smutny, ze zwieszonemi uszami, krył się to do budy, to do drzewotnika (drewutni), a od czasu do czasu skamlał, by go do kuchni puszczono.

Gdy wróciło bydło z pastwiska, minęło obojętnie studnię i pełne wody koryto, i pośpieszyło, bez zapędzania, na właściwe swe miejsca.

Pani nadleśna jednak cieszyła się. Zaraz inaczej będzie w ogrodzie — mówiła. Ale pan nadleśny nie okazywał zadowolenia. Raczej niepokój.—Deszcz zapowiada się na długo — mówił, patrząc w niebo — a sianomi skosili, nie zwiozą, może zgnić...

Nie cieszyła się też i Magdusia. Bo co robić w taki deszcz? Jedyna rozrywka — zajrzeć do Pawłowej.

Budynki w Wieczoryszkach nie były typowemi dla tutejszego kraju. Postawiły je władze rosyjskie przez swych „podrjadczyków“ według „kazionnego“ stylu. (Bo i za dawniejszych czasów było tu nadleśnictwo rządowe.) Główny dom, z kancelarją i mieszkaniem nadleśnego, niczem nie przypominał obywatelskiego dworu: ot, poprostu, olbrzymia, tandetnie sklecona landara. Dom leśniczego podobny był do jakiegoś urzędu w małem miasteczku. Nieco lepiej harmonizowały z otoczeniem chaty Pawła i Piotra, wzniesione zapewne przy czynnej pomocy ich pierwszych mieszkańców — gajowych, a więc włościan tutejszych. Niemniej wszakże i one różniły się w pewnych szczegółach od zwykłych w tych stronach budowli: nie były ustawione bokiem do drogi, miały ogrodzenia z porządnych, ale sztywnych sztachet, pozostawiających dokoła dużo wolnego miejsca, a wreszcie spore okna nadawały chałupom wygląd nieco miejski.

Chatę Pawła dzielił na dwie nierówne części ganeczek, prowadzący do niewielkiej sionki. Stąd drzwi na lewo wiodły do ogromnej izby, zajmującej $^2/_3$ całego budynku i posiadającej aż cztery okna: po dwa w ścianie frontowej i bocznej. Z sionki na prawo była śpiżarnia o jednem maleńkiem okienku. Śpiżarnia ta stanowiła połowę mniejszej części chaty. W drugiej połowie mieściła się t. zw. „kuchnia“, do której prowadziły drzwi z głównej izby, czyli „lepszego pokoju“. Umeblowanie tego lepszego pokoju było nad wyraz skromne: marny tapczan, dwie ławy, stół, komoda, kołowrotek, na ścianach karabin i kilka świętych obrazów, trochę garnków z kwiatami na oknach — to wszystko. Znaczną część izby — między drzwiami do sieni i do „kuchni“ (w której stały tylko dwa nędznie zasłane łóżka), zajmował wielki komin, t. zw. „plita“, oraz piec chlebny, dość wysoki, a płaski, by leżeć na nim było można.

Sypiały tu Jóźka z Wiktą, a w dni chłodne grzali się i inni członkowie rodziny.

Właśnie gdy Magdusia zjawiła się w chacie, obie dziewczyny leżały na owym piecu, gapiąc się na dół bezczynnie. Głowy ich — jedna ciemna, druga płowa — wyglądały, jak bułka białego chleba obok razowca.

Ale w chacie Pawła tylko one dwie próżnowały. Inni obecni pilnie oddawali się pracy. Najstarsza córka, Helka, rosła, zgrabna dziewczyna, o ceglastej energicznej twarzy, mełła w spiżarni mąkę na żarnach; Pawłowa, siedząc w kącie wielkiej izby, przędła, a jej kołowrotek warczał swarliwie, jakby na przekorę gniewnie za ścianą zgrzytającym żarnom. Przy oknie Boluk naprawiał skrzypce, a za oknem widać było Pawła, który przy pomocy wielkiego dłuta, osadzonego na drągu, wydłubywał szeroką szparę w leżącym na ziemi, odartym z kory grubym pieńku.

— A! Magdusia! — zawołała na widok wchodzącej, Jóźka — chodź tu do nas.

— Którędy?

— Wo, tam ztyłu trepki jest.

Owe trepki, czyli schody, stanowił duży kamień i połamany stołek. Wystarczyły one jednak Magdusi, by się na piec wgramolić. Ledwo wszakże na nim usiadła, podskoczyła, mocno uderzając się w głowę o niski pułap.

— Jak wy tu możecie —krzyknęła—przecież parzy.

Jóźka śmiała się, aż ją podrzucało.

— Nic — wołała — przywykniesz, połóż się na brzuchu.

— Bierz chustka, podłóż sobie — radziła Wikta, podając jakiś szary, dość podarty łachman.

Magdusia miała wielką ochotę zeskoczyć na podłogę, ale ponieważ za punkt honoru uważała dotrzymywać we wszystkiem placu swym nowym przyjaciółkom, więc prędko podesłała sobie ofiarowaną szmatę— choć jej wątpliwa czystość budziła trochę obrzydzenia— i po chwili używała już oryginalnej rozkoszy leżenia na piecu.

Przyglądała się stąd przez pewien czas robocie Pawłowej, podziwiając nadzwyczajną wprawę i zręczność tej kobiety. Nie patrzała ona zupełnie na war-

sztat, ani na swoje ręce; szybko deptała pedał, kółko kręciło się, że śmig nie było widać, a z przędziwa leciała przez palce nitka, którą Pawłowa skręcała, śliniła, poprawiała, gawędząc wciąż to z córkami to z synem.

— Musi Kaziuk aż do Rudnik uciekłszy,

— A czemu on uciekł — zagadnęła Magdusia.

— Ot, z ojcem znów wielka bitwa rano miał.

— Cóż mu Kaziuk zawinił?

— Co miał zawinić — mruknęła Józka — stary na raku obudziwszy się, tak musiał kogoś pobić.

Wtem przez okno wsunął głowę Paweł.

— Ej, Wikta, schodź ty na droga, wołaj Kaziuka.

— Znów go bić? Co? — krzyknęła zaperzona Pawłowa. Nie dziwaczyłbyś od rana.

— Durna ty, co mam bić! Niech w robocie pomoże. Ul gotów, trzeba postawić, sam nie dźwignę.

Zanosiło się na burzę, gdy niespodzianie ukazał się w drzwiach Jusiel. Przywitał się, postawił w kącie karabin i zaczął coś opowiadać Pawłowi, ale że mówił „po prostemu" (czyli po białorusku), Magdusia prawie nic zrozumieć nie mogła. Domyślała się, że przyniósł jakąś dobrą nowinę, bo Paweł rozchmurzył się nagle i przeszedł do wnętrza izby.

— Boluk — zawołał — schodź do Rudnik, przynoś wódki i śledzia wędzonego.

A gdy chłopak opuścił chatę usiedli z Jusielem przy stole, gość zaś wydobył z za pazuchy i rozłożył duży, pożółkły papier. Mozolili się ciężko, by go odczytać; Magdusia nic nie rozumiała, bo akt był rosyjski, a w dodatku mężczyźni, by go odczytać, głos coraz bardziej zniżali. Mimo to, obiły się jej kilka razy o uszy dwa słowa, raz już słyszane i spamiętane, a mianowicie: „Witort" i „Angleniki".

9. GRÓB POWSTAŃCA.

a mówiła, że się nie uchowa.

— Ot, kiedyby nie te deszcze, mógł wyżyć. A to musi zaziębiwszy się na taka pogoda.

Kobieciny kiwały głowami. Na ziemi leżał biedny lisek, ledwo, ledwo już dysząc. Co mu się raptem stało, nikt nie mógł odgadnąć; ogólnie podejrzewano Bobika, który małemu krewniakowi nie szczędził dowodów antypatji i już kilka razy chciał go wytarmosić. Ale zastanawianie się nad przyczyną nieszczęścia nic choremu nie pomogło. Po kilku godzinach lis wyzionął ducha. Pochowano go w mrowisku na prośbę Magdusi, która słyszała, że jest to najprostszy sposób preparowania szkieletów zwierzęcych. Dziewczynka postanowiła właśnie zbierać rozmaite okazy, mogące zbogacić muzeum przyrodnicze szkoły, by zawieźć je następnie do Warszawy. Trochę już miała roślin do zielnika, ale kilka ostatnich dni dżdżystych przeszkodziło zasuszyć je. Przeciwnie nawet — niektóre pogniły w bibułach pod przyciskami. Nadzieja więc zdobycia tak cennej rzeczy, jak szkielet lisa, zmniejszyła trochę zmartwienie, spowodowane jego tragicznym i przedwczesnym zgonem...

Właśnie wracano z pogrzebu; na czele szedł Boluk z rydlówką, jak z karabinem, na ramieniu, gdy przed dom nadleśnego zajechał taratajką Paweł, a po chwili na ganku ukazali się pan nadleśny i ojciec. Obaj ubrani do drogi i z fuzjami w rękach.

— Czy tatuś wyjeżdża? — zapytała Magdusia.

— Tak, za kilka godzin wrócę.

— A jabym nie mogła?..

Panowie porozumieli się ze sobą.

— Włóż prędko pelerynę — rzekł po chwili ojciec — może być deszcz.

Z radością spełniła polecenie i niebawem siedziała na bryczce. Przejechali część lasu dobrze już znaną dziewczynce — tę, w której z Wiktą zbierała stale grzyby, poziomki i jagody — skręcili na zachód i wydostali się na pole. Po obu stronach kołysało się miejscami już dojrzewające żyto. Z pośród złotawych i zielonych kłosów wychylały się błękitne chabry i ciemnofioletowe kąkole. Wysoko, wysoko nad polem świergolił skowronek. Minęli figurę, potem malutki drewniany kościołek, otoczony szarym, ukośnie kratkowanym parkanem; przejechali długą wieś, której chaty patrzały na błotnistą drogę krzywemi małemi okienkami i oto znowu otoczył ich bór. W miarę posuwania się naprzód, gęstniał on coraz bardziej i ciemniał. Nad głowami jadących zawisł baldachim grubych gałęzi, pokrytych zielenią igieł i liści. Barczyste pnie starych, mchem siwym porosłych drzew, grzęzły po kolana w paproci, śród której tu i owdzie czernił się martwą kłodą trup leśnego olbrzyma.

Cisza była taka, że aż w niej strach drzemał.

Czasem tylko doleciało skądciś suche pukanie dzięcioła; to znów lekko trzasnęła gałązka; po czarnej korze dębu złotą plamką prześliznęła się wiewiórka; to wreszcie nierozpoznane zwierzę smugą żółtawą mignęło śród dalszych zarośli i nikło w nieprzeniknionej gęstwinie.

Magdusi trudno było zmiarkować, jak długo jechali. Z początku rozglądała się ciekawie. W mroku tajemniczym, ginącym za wykrętami drożyn leśnych, błądziły przeróżne dziwadła dawno słyszanych bajek: błyszczały kryształowe pałace, błądzili przepiękni królewicze, spały zaczarowane księżniczki... Nagle kosmata łapa jodły, musnąwszy ostro dziewczynkę po twarzy, budziła ją z zadumy. Wkońcu widok stał się nużący swą jednostajnością. Droga zaczynała się dłużyć.

To też przyjemność sprawiło Magdusi, gdy wreszcie las rozstąpił się i znów pola otoczyły drogę. Należały one do niewielkiej, ale zamożnej wsi, gdzie ładne, zdrowe chaty bieliły się śród pstrych ogródków, pełnych pomarańczowo-czerwonej nasturcji, czarno purpurowych aksamitek, białych maków. Szybko minąwszy tę wieś po zbiegającej w dół drodze, bryczka zaturkotała na długiej grobli, wyłożonej okrąglakami. Z obu jej stron rozłożyły się szmaragdowo-fioletowe łąki, osypane gęsto, niby różnokolorowym makiem, kwieciem najrozmaitszej barwy.

— To najpiękniejsze łąki w tych stronach — odezwał się p. nadleśny.—Stanowią one główne źródło bogactwa tutejszych włościan, którzy też hodują najlepsze bydło.

Grobla już się kończyła. Minęli rozległe pastwisko, na którem pasło się dużo krów, koni i owiec—i znów zatonęli w lesie. Był on jeszcze bardziej ponury i dziki od poprzedniego. Prócz wąskiej drogi, którą toczyła się bryczka, nie można było dojrzeć ani jednej ścieżki, ani jednej t. zw. „linji". Wszędzie wzrok padał na czarną ścianę pni otoczonych wysokiemi gęstemi krzakami. Tu i owdzie strzaskana sosna, tonąc koroną w zaroślach, powiększała jeszcze plątaninę; to znów wysterkało wężowisko pokręconych korzeni padłego drzew patrjarchy.

— Cóż za dzikie uroczysko! — wykrzyknął ojciec.

— A czy wiecie — odpowiedział nadleśny — że tu są miejsca, gdzie nigdy stopa ludzka nie postała?.. Ta droga stanowi wąski pas między trzęsawiskami, które nawet zimą nie wszędzie przebyć można. Ten oto właśnie las w r. 1863 stanowił jedną z najlepszych fortec naszych powstańców. Tu w pobliżu partja Sendka stoczyła zwycięską potyczkę. Ale żeby miejsce to obejrzeć, należy jechać inną, okrężną drogą, bo wprost dotrzeć tam niepodobna.

Zwolna droga zaczęła się rozszerzać i wkrótce na tle ponurej zieleni leśnej zajaśniał krótki szereg chat.

— Jesteśmy u celu — rzekł pan nadleśny — to Stare Macele.

Przed jedną z chałup zatrzymano bryczkę.

Na ganku ukazał się salutując gajowy.

— Co słychać, Użdawinis? — zawołał, wyskakując z taratajki, pan nadleśny.

— Nic sobie, pomaleńku, panoczku, wszystko w porządku.

Wprowadził gości do chaty. Wnętrze jej przedstawiało się zupełnie inaczej, niż izba stróża Pawła. Czysto tu było, ładnie, zamożnie nawet. Ściany wybielone, łóżko wysoko, pięknie posłane, na ścianach szereg świętych obrazów, w oknach kwiaty.

Żona gajowego, wytarłszy ławę fartuchem, jęła uprzejmie zapraszać:

— Proszę przysiąść. Wraz dam przekąsić.

— Nie trudźcie się, Użdawinisowa, nam byle co...

— Jakże tak! Już pan nadleśny honor zrobi. Proszę bardzo, proszę. Czem chata bogata.

I poczciwa kobiecina zakrzątnęła się, by przygotować śniadanie,

Magdusia wyjrzała przez małe, kwadratowe okienko. Na podwórzu Użdawinis wykładał konia, a stróżbryś, czując obcych, ujadał, wlokąc łańcuch po przeciągniętym wysoko drucie.

Wkrótce gajowy wrócił do chaty. Chwilę porozmawiał z panem nadleśnym w sprawach służbowych, poczem zwrócił się do żony:

— Prędzej, żonka, cóż tak marudzi?

Ale kobieta wcale nie marudziła. Stół okryła czyściutkim białym obrusem, ustawiła talerze, podała chleb, zsiadłe mleko, ser, masło, a na kominie skwierczała już słonina pod jajecznicę. Spałaszowano śniadanie, bo apetyty mocno zaostrzyła droga, a gdy już głód był zaspokojony, pan nadleśny zwrócił się do gajowego:

— Tu u was na cmentarzu pochowano powstańca. Nieprawda?

— Tak, pan, pochowano. Mój ojciec rodzony pochorony jemu tajnie nocą ustroił.

— Otóż — podjął znów nadleśny — postanowiłem temu nieznanemu żołnierzowi krzyż postawić. Pokaże-

cie nam grób jego; a może wiecie szczegóły, jak to wtedy było? To nam opowiedzcie.

— Ja, przepraszam pana— odrzekł gajowy—mało wiem. W ta pora jeszcze na świecie nie był. Ale stary Jurgielewicz, mój teść, tak on pamięta. Toż blisko sto lat jemu.

— Dawać go tu!

Sprowadzono starca. Zgarbiony był, pomarszczony, ale gdy usta otwierał, białemi zębami, jak wilk, błyskał. Posadzono go z szacunkiem na ławie, a gdy dowiedział się o co chodzi, jął długo i mętnie opowiadać: jak to na „Polackich Wyspach" powstańcy się kryli, jak ich „ruscy" wytropili „jak raz" w pierwszy dzień Zielonych Świątek, jak „wielka bitwa wygrali", bo ich gajowy Użdawinis — ojciec dzisiejszego Użdawinisa — o niebezpieczeństwie wczas uprzedził. Dużo wtedy ruskich padło. Sam dowódca poległ. Tu niedaleko nawet piękny pomnik z kamienia stoi. Wielka wtedy była parada, aż z Petersburga i Wilna generałowie i popy przyjechali jego poświęcać.

— To w ta bitwa — mówił starzec — dwa powstańca raniono. Jeden był gdzieś przepadłszy; a drugiego my z Użdawinisem tydzień cały w Starych Macelach ukrywali. Co noc w inne krzaki jego przenosili, bo kozactwo szukało. Ale cóż! rana miał wielka w piersi, męczył się, męczył, aż umarł. Tak my jego na poświęconej ziemi nocą byli zakopawszy.

— Możecie nas tam zaprowadzić? Pokazać?

— Dlaczego! Moga!

Całe towarzystwo, prócz gospodyni, ruszyło w drogę. Na końcu wioski, gdzie las znów zbliska obstąpił gościniec, widniało za brzozowem ogrodzeniem kilkadziesiąt małych krzyżyków, tonących prawie po ramiona w czernicowych i borówkowych liściach. Jagody borówek były jeszcze zielone, ale czernice granatowo-czarne i wielkie, jak ziarna grochu. Na środku cmentarzyska stał wysoki, zmurszały już krzyż. Obok niego obelisk z piaskowca, wzniesiony ku czci jakiegoś znakomitszego z Jurgielewiczów (zaludniających całą wio-

skę), a dalej, nieco w głębi, ledwo znaczna wyniosłość była zupełnie wolna od grobów.

Starzec zatrzymał się i zdjął czapkę.

— Tu.

Wszyscy odkryli i pochylili głowy.

Milczano.

Po chwili odezwał się Użdawinis:

— A ot tydzień temu nazad my ten grób pokazywali jednemu staremu panu, co tu aż z Wilna był przyjechawszy. Tak powiadał, co on—to ten drugi ranny. Na Sybirze wiek przeżywszy, wnuka teraz chciałby odnaleźć.

— Nie pytaliście, jak się nazywa? — zapytał ojciec Magdusi.

— Pytali. Witort. Toż on tutejszy. Ichnie Angleniki niedaleko. Biednieńki on: syna jemu na wojnie zabili, wnuk przepadł. Pytał o jego w Wilnie, no nikt tam nie widział. Ot nieszczęście.

Wracano do Wieczoryszek. Ojciec rozmawiał z panem nadleśnym, który układał plany uroczystości, mającej towarzyszyć wzniesieniu krzyża na grobie nieznanego powstańca.

— Tu — mówił — na samej granicy Litwy, która teraz od nas się odwraca, chcę postawić znak walk naszych o tę ziemię.

— Witort... Angleniki... — snuło się po głowie Magdusi. Wszak nazwy te kilkakrotnie odczytywał Jusiel z papieru, którym tak Pawła uradował. Co to ma znaczyć?

Chciała powiedzieć o tem ojcu, ale obaj panowie tak byli zagadani, że nie śmiała im przerywać.

10. NIESPODZIANKA.

yła burza. Taka burza, jakie bywają po dniu skwarnym. Las cały huczał, a Magdusia z Wiktą przycupnęły pod rozłożystą jodłą, zarzuciwszy sobie spódniczki na głowy. Niewiele to jednak pomogło. Przemokły do nitki, a tu ulewa nie ustawała, pioruny waliły coraz bliżej; więc ostatecznie postanowiły nie czekać dłużej. Wikta popędziła w stronę domu, nie trzymając się żadnej drogi. Magdusia za nią. Lało tak mocno, że aż chwilami dziewczynki tchu złapać nie mogły. Lecz oto, gdy wybiegły z lasu i stanęły na mostku u samych Wieczoryszek, deszcz osłabł raptownie, a po chwili ustał.

— Będą jutro borowiki za gościńcem — rzekła Wikta — wstawaj wczas, tak pójdziemy.

Nazajutrz już o piątej Magdusia wyskoczyła z łóżka. Wyjrzała przez okno. Słońce jaśniało tuż nad zębatą linją sosen; na niebie gdzieniegdzie tylko płynęły białe, niemal przezroczyste chmurki.

Ogarnęła się aby-aby i pobiegła do chaty Pawła. Wikta zobaczyła ją przez okno i wyskoczyła na próg.

— Karzineczka masz?

Zrazu Magdusia nie rozumiała, co to: „karzineczka". Dopiero po chwili zmiarkowała, że chodzi o koszyk. Wróciła więc do domu, porwała pierwszy lepszy z brzegu i niebawem dognała Wiktę, która śpieszyła już w stronę lasu.

Ledwo zeszły z drogi i ze spuszczonemi głowami zaczęły błądzić śród drzew — co chwila grzyb jakiś

rzucał im się w oczy. Magdusia miała wielką ochotę zbierać wszystko: i rumiane syrojeszki, i szaro-zielone mochowiki, i smagłe kozaczki, żółte lisiczki — ale pogarda, z jaką Wikta mijała wszystkie te grzyby, nie pozwalała jej również schylać się po nie. Szła więc dalej — wciąż z pustym koszykiem, daremnie rozglądając się, czy nie dojrzy gdzie króla grzybów—borowika.

A tu tymczasem Wikta coraz to się schyla i wesoło pokrzykując, rzuca zdobycz do plecionej kobiałki.

— Już ósmy! — woła.

Wdrapały się na pagórek, gdzie się las rozrzedził; proste kolumny sosen stały, jak na równej podłodze z brunatnego igliwia. Tylko gdzieniegdzie u podstawy drzew zieleniły się tam i sam puszyste kępki mchu. Z ziemi wystawały wszędzie kozaczki, niby szparagi z czerwonemi łebkami. I znów Magdusia darmo rozglądała się za borowikiem, natomiast Wikta znalazła odrazu dwa nowe.

— Powiedz, jak ty ich szukasz?

— A ot, pod mchem, tylko nie pod zielonym, a pod siwym.

Pokazało się, że dziewczyna rozpoznaje kryjówki młodych borowików po malutkich wyniosłościach na mchu. Magdusi ręce opadły. Ileż czasu upłynie, zanim i ona zdobędzie taką wprawę! Ale na szczęście zeszły z łysego pagórka i wnet je ogarnęła zupełnie inna część lasu. Nogi zaczęły plątać się w szaro-zielonym wrzosie, pod którym miękko uginał się sprężysty mech; dokoła drzew starych, młode, maleńkie sosenki tworzyły gęste zarośla. Zrobiło się jakoś weselej, bardziej zielono, a jednocześnie spostrzegła Magdusia tuż przed sobą ogromnego borowika w dużym kapeluszu, z fantazją wdzianym nabakier. Czemprędzej podcięła go i wrzuciła do kosza.

Zaraz potem znalazł się drugi, trzeci, czwarty. Coraz więcej, coraz więcej. Niektóre małe w bronzowych kapturach, osadzonych na brzuchatym, często

pokrzywionym korpusie; inne podobne do szeroko otwartych parasoli; jedne zdrowe, czerstwe, inne z powygryzanemi przez czerwie białemi plamami...

Kosz zaczynał ciężyć.

Wdali słychać było krzykliwe nawoływania pastuchów: ahu!... a!... kudy!... Jakaś czerwona krowa mignęła między drzewami, w innem miejscu pokazała się czarna łaciata. Znikły. W lesie znów zapanowała cisza zupełna i nic nie odwracało uwagi dziewczynek od poszukiwanych grzybów, których obfitość zachwycała Magdusię. Nie mogła się oprzeć dalszemu ich zbieraniu, choć czuła, że już zbyt wielki ciężar kosza dźwigać go daleko nie pozwoli.

Wtem zauważyła dwie poruszające się w pobliżu postacie.

— Wikta, kto to tam, widzisz?

Mała podniosła jasną główkę, chwilę przyglądała się uważnie.

— To Boluk i Kaziuk—rzekła—mech zbierają na podściółka.

Pośpieszyły w stronę chłopców.

Nacinali oni rydlówkami prostokąty na mchu, potem z jednej strony podważali ziemię i wreszcie, klęknąwszy, zwijali ją w duże, ciężkie rulony. Magdusia usiadła na pieńku, postawiła kosz z grzybami obok i przyglądała się robocie chłopaków, posilając się czarnemi jagodami. Rosła ich tu wielka obfitość, a słodkie były i duże, prawie jak ziarna grochu.

Boluk uwijał się żwawo i gwizdał wesoło. Kaziuk poruszał się leniwie i spoglądał ponuro. Od dnia, kiedy to z ojcem „wielka bitwa" miał, chodził wciąż chmurny. Jóźka mówiła, że staremu nie daruje i zemsty szuka. Magdusia nie miała ochoty wdawać się z nim w rozmowę. W milczeniu tedy przyglądała się niemal z podziwem, jak wprawnie i szybko pracuje Boluk. Robota, jak to mówią, paliła mu się w rękach. Zgrabnie wycinał równe podłużne pasy, zwijał ziemię i rulon po rulonie na bok odsuwał.

— Ładnie to robisz, Boluk,—odezwała się wreszcie dziewczynka.

— Ot, zwyczajna robota — odpowiedział i zaczął śpiewać:

„Hej, s hory, s hory
jeduć mazury!...
Jeduć, jeduć mazuroczki,
wiezuć, wiezuć dwa wienoczki —
wienok zołotoj"...

— Słysz, Boluk — zawołał Kaziuk — ci dasz ty mnie trocha swojego mchu?

— Dlaczego! dam — zgodził się chętnie Boluk.

Aż zdziwiło to Magdusię.

— Czemu — spytała — żądasz tego od Boluka?

— On młodszy, może mieć mniej. A jego i tak stary nie ruszy.

— Bo pracowitszy od ciebie.

— Nie dlatego. Choćby on nie robił, nic jemu nie będzie.

— Kocha go tak?

Kaziuk przez chwilę milczał. Ale z twarzy jego było widać, że chce coś powiedzieć, lecz się waha. Raptem wybuchnął:

— Zakazał mówić?.. Bije?.. Naczkać mnie na jego zakazy! Ot, ja wam teraz cały sekret objawię.

Magdusia nastawiła uszy, a Boluk przestał pracować i, wsparty na łopacie, oczy wlepił w brata. Kaziuk zaś urywanym głosem mówił coraz prędzej:

— Tak ty wiedz, Boluk... ty ze wszystkiem nie jego syn, nie jego dziecko... Nie jemu ciebie Jadwisieńka - Oleńka była porwawszy. On tylko tak tobie powiada, ale to nieprawda.

— Nu, wszystko tak — mruknął Boluk — ja do Jadwisieńki-Oleńki wrócić nie chca.

— Jeżeli to prawda, co mówisz — wtrąciła Magdusia—to dlaczego Paweł kocha Boluka i nie bije go?..

— Kocha!.. Takie jego kochanie! — warknął niechętnie Kaziuk — pieniądze on staremu za muzyka przynosi, tak co ma jego nie kochać? A teraz Jusiel

wykradł u czarownicy papiery. W nich dowód, co Boluk szlachecki syn, majątek odziedziczy. Najdzie rodziców — nagroda staremu dadzą; nie najdzie — tak może uda się z Bolukiem na folwarku siąść. Ot, cały sekret kochania. Nie bije go!.. Wielka łaska!.. Boi się bić!.. Ot, przyjdą jego rodzice, zapytają: bił? — Powie: bił. Tak jakaż by dali nagroda?... Baty by jemu daliby, nie nagroda.

— Ale w każdym razie ty jesteś niedobry chłopiec! — zawołała Magdusia. — Pawłowa naprawdę kocha Boluka, a nie z wyrachowania.

— Ot, wymyślił historja! — mruknął Boluk z niedowierzaniem.

Rozmowa urwała się nagle, bo usłyszeli turkot i z zarośli wynurzył się bułany łeb Pawłowej kobyły.

— Cóż, mech jest? — spytał Paweł, złażąc powoli z wozu.

— Jest — odrzekł ponuro Kaziuk.

Naładowali furmankę. Magdusia z koszem grzybów usiadła na wierzchu; Paweł, idąc obok, poganiał, chłopcy z rydlówkami na ramionach postępowali ztyłu. Wikta przepadła gdzieś, szukając dalej borowików.

Przed chatą Pawła Boluk pomógł Magdusi zleźć z wozu i poniósł za nią ciężki kosz do domu nadleśnego. Tu dziewczynkę spotkała miła niespodzianka: oto, w czasie jej nieobecności przybyli do Wieczoryszek z Wilna goście, a mianowicie pani Ławska z córką Wandzią i jej przyjaciółką Sławką.

Wandzię Magdusia znała oddawna i w wielkiej z nią żyła przyjaźni, gdy jeszcze przed wojną stale mieszkała w Wilnie. Panienka ta bardzo wyrosła, przeszła już do czwartej klasy, ale — że stara przyjaźń nie rdzewieje — szczerze ucieszyła się na widok Magdusi; to też ściskały się długo i serdecznie. Sławka, jasna smukła blondynka, była świeższą przyjaciółką—z Warszawy, dokąd niedawno przybyła aż z Paryża, gdzie rodzice jej przez czas wojny mieszkali.

Naturalnie, wszystkie trzy dziewczynki miały sobie dużo, bardzo dużo do opowiedzenia. Po obiedzie wzięły się pod ręce i chodząc po parku od domu do

Mereczanki, ani się spostrzegły, jak słońce przechyliło się nad zachodnie czuby lasu.

Już ściemniło się, już lelek — zwykłym swoim zwyczajem — jak mara latająca, raz jeden okrążył klomb i przepadł; już derkacz odezwał się z łąki głosem, przypominającym nakręcanie wielkiego zegara, a trzy panienki, siedząc na stopniach werandy, gadały, gadały, gadały.

ani Ławska była osobą, pełną werwy, dowcipu i pomysłów. Codzień inne urządzała zabawy, w których brali udział starsi narówni z dziećmi, a dom nadleśnego z chatami niższych oficjalistów.

Więc gonitwy w workach lub na jednej nodze, gra w ptaki, w gęsi i wilka, a wieczorem — bal.

Oto pani Ławska siada do fortepianu, otworzywszy narozcież drzwi od werandy. Skoczne tony oberka rozbrzmiewają daleko i ściągają słuchaczów z sąsiedztwa. Przed werandą zbiera się gromada coraz większa, przeważają w niej, oczywiście, dzieci i młodzież. Jest Wikta, jest i Jóźka, i Stasiek, i Boluk, i Michałek. Przyleciała i Helka, i Franka od sekretarza. Stefka uchyliła drzwi i też zagląda do pokoju.

A tu już panienki tańczą. Lecz dla jednej brak pary.

— Czyż niema na to rady? — woła pani Ławska — małoż to tancerzy na dworze? Chodźcie tu! Gram nie do słuchu, lecz do tańca.

Michałek wsunął się pierwszy. Ale zaraz u progu założył ręce za siebie i oparł się o ramę drzwi.

Onieśmielała go widocznie obecność pani i pana nadleśnego. Ten jednak sam już był rozochocony.

— Tańcz, Michałek — powiada.

Chłopiec zbliżył się do Magdusi, ale ona czemprędzej pociągnęła Stefkę i zaczęła z nią krążyć po pokoju. Wandzia tańczyła ze Sławką.

Tymczasem za Michałkiem jęli zwolna wsuwać się i inni: Helka, Wikta, Kaziuk. Jóźka, jak dzikie, nieufne zwierzątko, wciąż jeszcze wahała się. Wsunęła tylko głowę, owiniętą białą kosynką i wodziła ciemnemi ślepkami po tańczących; to znów wpatrywała się w panią Ławską, jakby pierwszy raz widziała osobę, grającą na fortepianie.

— A gdzież to Boluk? — spytała pani nadleśna. Lubiła chłopca, bo chętnie i dobrze spełniał wszelkie polecenia.

W tejże chwili Magdusia puściła Stefkę, wybiegła na werandę i wciągnęła Boluka za rękę. Nie bardzo się opierał i wkrótce tańczyli już ze sobą.

Wnet rozhulało się całe towarzystwo. Sam pan nadleśny zaprosił Helkę. Ośmielony tem Kaziuk podsunął się do Wandzi. Ojciec Magdusi objął Stefkę i poszedł taki obertas, że aż szyby dudniły. Po oberku pan nadleśny poprowadził mazura; poczem Helka z Kaziukiem, na życzenie pani Ławskiej, mieli pokazać tutejsze tańce ludowe. Boluk przyniósł z chaty swoje skrzypeczki. Okazało się jednak, że nikt tu nie znał dawnych pląsów miejscowych: „miatielicy", „lepietuchy", „worobja" i t. p. Umieli natomiast walca, „tuzdep", „angleza" i inne obce dziwactwa, w swoisty sposób jeszcze przedziwaczone. Ażeby z tem skończyć, pani Ławska zasiadła znów do fortepianu. Zabrzmiał dziarski krakowiak.

W jednej chwili Boluk podbiegł do Helki i zaprosił ją do tańca. Zabawnie wyglądał malec przy rosłej dziewczynie. Ale skoro zaczęli tańczyć, przekonano się, że chłopak doskonale i z życiem prowadzi. Trochę inny był to krakowiak, niż widuje się w Krakowskiem: naogół nieco flegmatyczniejszy, chwilami przypominał kozaka, zwłaszcza gdy Boluk, kucnawszy, przebiegał salę w t. zw. „prysiudach", a następnie podskoczywszy, walił w ziemię bosemi piętami.

Krakowiak skończył się.

Pani Ławska odeszła od fortepianu, ale wnet siadła przy nim gospodyni i zagrała polkę. Tańczono więc dalej, nie zwracając uwagi na zniknięcie pani Ławskiej

i Magdusi. Na dworze było już ciemno. Przez drzewa parku widać było olbrzymią, miedzianą tarczę księżyca, a z podwórza dolatywało ujadanie Bobika.

Wtem na werandzie zamajaczyły dwa dziwaczne cienie i w drzwiach ukazał się bosy, okryty łachmanami człowiek z małym chłopczykiem, któremu twarz zasłaniała czapka, a resztę postaci długa ciemna peleryna. Stary miał twarz źle ogoloną — tak, że policzki prawie były czarne; nos jego pałał karminem.

Rozejrzał się złowrogo po obecnych i ściskając gruby kij w dłoni, przemówił po rosyjsku ochrypłym głosem:

— Pamagitie, radi Boga!

Słowa błagalne dziwnie kłóciły się z groźnym ich tonem i zbójeckiem spojrzeniem przybysza.

Wikta, Józka i Helka podniosły krzyk, pisk i uciekły z pokoju. Na wszystkich twarzach odmalowało się zakłopotanie. Nadleśny posuwistym krokiem zbliżył się do żebraka. Nagle stanął i wybuchnął śmiechem.

— To mamusia! — krzyknęła Wandzia.

Chwilowy niepokój zmienił się nagle w ogólną wesołość. Zaraz też powstała myśl, by „bolszewik" poszedł do innych chat z prośbą o jałmużnę i nocleg. Ruszył tedy pochód drogą, światłem miesiąca osrebrzoną. Na przedzie szedł dziad, opierając się prawą ręką na kiju, lewą — na wnuku. Za nimi w znacznem oddaleniu posuwała się gromadka, ciekawa, jak też rozmaite osoby rozmaicie przyjmą nieproszonego gościa.

Wkrótce „bolszewik" skręcił w opłotki domu leśniczego.

W pokoju niezbyt jasno oświetlonym siedział przy kolacji gospodarz w towarzystwie goszczącej u niego matki i brata.

Nagle wszystkie twarze zwróciły się w stronę otwartego okna, z za którego doleciały słowa:

— Pamagitie, radi Boga!

— Kto tam? — spytała kobieta, zbliżając się do okna.

Przybłęda zaczął opowiadać, że przywędrował z Rosji, gdzie ludzie straszny głód cierpią; że od dwuch

dni w ustach nic nie miał; że prosi o posiłek i nocleg. Tkliwe serce staruszki zaczynało mięknąć, gdy nagle usłyszała jakieś szepty w odległości, a jednocześnie spostrzegła kilka cieni przy płocie. Biorąc grono ciekawych za tajemniczą bandę, szybko zamknęła okno.

Po chwili na ganku ukazał się leśniczy, a za nim brat jego — obaj z karabinami w ręku.

— Czego tu chcesz? — ostro zapytał leśniczy.

Magdusia nie mogła dłużej utrzymać się w roli i wybuchnęła śmiechem. Oczywiście, zaraz wydało się wszystko i rozbawione towarzystwo, w tym samym porządku, co przedtem, wyruszyło w stronę chaty stróża Pawła.

Tu ciemno już było. Dzieci Pawła sypiały w odrynie na sianie, więc rodzice, nie czekając na nie, udali się na spoczynek i „zaparli" drzwi.

Bolszewik lekko zapukał do okna — raz, potem drugi raz, a za trzecim razem mocniej.

— A, kto?.. — odezwał się z wnętrza gruby głos stróża.

— Atwaritie, niesczastnyj!..—zajęczał „bolszewik".

— Jaki tam nieszczastnyj?..

Jeszcze raz mocno zadźwięczała szyba.

Chwila ciszy i raptowne otwarcie drzwi. W progu stanął Paweł.

— Kto? Czego? — rzucił krótkie pytanie z jawnem niezadowoleniem.

„Bolszewik" zbliżył się pokornie. Jął opowiadać, że z Rosji wraca, że prosi o nocleg...

Wtem Paweł schwycił go za ramiona.

— Wiem — krzyknął — u ciebie bumaga (papier) jest z carskim orłem! Wiem, poco ty przyszedł! Czarownica ciebie przysłała.

— Czarownica?.. Jaka czarownica?.. — szepnął zdumionym głosem po polsku „bolszewik", tracąc nagle fantazję, zwłaszcza, że Paweł nie przestawał trząść nim swemi potężnemi łapskami.

Stróż nie zauważył zdziwienia włóczęgi, ani zmiany jego głosu i mowy, lecz z rosnącym gniewem krzyczał coraz głośniej.

— On szlachecki syn, a nie brodiagi. Ja się oszukać nie dam. A koli budziesz nadto dużo hawaryć — już ja inaczej z toboj rozprawlusia — zakończył „po prostemu“. Obrócił „bolszewika“, pchnął go na drogę i drzwi z hukiem zatrzasnął.

Tak zakończyła się maskarada. Teraz znów śmieli się wszyscy, nawet skonfudowany nieco włóczęga; przypuszczano, że Paweł, ze snu zerwany, bredził coś bezprzytomnie. Tylko Kaziuk, przechodząc koło Magdusi, szepnął: „A co, nie mówił ja prawda?.. Co?.?“

12. W SMOLARNI.

łońce świeciło już wysoko—tak, że nawet czarna otchłań puszczy, w której stale wieczór panował, połyskiwała wesoło zielonemi zwierciadełkami bagna. Bagno to, jak sięgnąć okiem, przeglądało wszędzie między liśćmi poziomek, kępami niezapominajek, bukietami paproci. Gdzieniegdzie szkliło się większemi taflami, lub oblewało spore wysepki jasno-zielonego mchu, co puszystemi poduchami słał się u podnóża brzóz, jodeł i dębów, albo też otaczał krzaki olszyny, leszczyny czy szakłaku.

Przez moczary wiła się kręta drożyna, głębokiemi koleinami nacięta, które miejscami nikły w ogromnych kałużach. Ale nie zatrzymywały one idącej wciąż naprzód baby w żółtej postrzępionej spódnicy i niebieskim kaftanie. Śmiało wchodziła w wodę i, podkasawszy się do kolan, szła dalej na sękatych nogach, jakby drogi wcale nie traciła z oczu. I rzeczywiście, gdy kończyła się kałuża, kobieta trafiała znowu wprost na koleiny, z których nie zbaczała chyba dlatego, że po obu stronach ciągnęła się topiel niezmierzona. Niekiedy droga rozszerzała się, widać było ślad kroków ludzkich po bokach, między drzewami; ale niebawem znów zaczynały tuż-tuż przebłyskiwać lusterka w głębokich odciskach stóp bosych i obutych. Aż oto wkońcu, nawprost idącej baby, rozlała się kałuża wielka, jak jezioro, obrzeżona dokoła gęstym borem. Skręciła w prawo. Wodę od lasu dzieliła tu dość szeroka wyniosłość o gruncie twardym, suchym. Nieco dalej dymiło kilka

czarnych pagórków, a na nich poruszały się jakieś ludzkie postacie. Była to t. zw. smolarnia. Pagórki składały się z drobnych kawałków zwęglonego drzewa, a ich płaskie wierzchołki z trzech stron unosiły się ku górze, pozostawiając otwarte z jednej strony wgłębienie. We wgłębieniu tem smaliły się całe pnie brzozowe. Gęsty duszący dym pióropuszem unosił się nad niemi, ale nigdzie nie dojrzałeś płomyka.

Kobieta minęła te minjaturowe wulkany. Tuż za ostatnim stało kilka niewielkich szałasów — każdy podobny do sterczącego wprost na ziemi dachu. Okryte były z wierzchu płatami kory dębowej i kwadratam ziemi, zwróconemi mchem do dołu.

Na widok „durnej“ wylazł z pierwszego szałasu mężczyzna, który, gdy się wyprostował, o głowę przerósł wysokość swej siedziby. Czarne włosy, gęste brwi, bujny czarny zarost i brunatna cera, węglem w dodatku osmolona — nadawały mu wygląd typowego cygana.

— Wróciłaś nareszcie!—zawołał. Jak jej nie trzeba, to przyłazi, a wczoraj, kiedy szukałem, wałęsała się niewiadomo gdzie.

— Już ty nie łaj biednej sieroty. Co kazałeś — zrobiła, dowiedziała się.

— Tak gadaj.

— Klacz. Gniada. Tylne pęciny białe.

— Na takiego konia u mnie papieru niemasz.

— Czas postarać się.

— Zobaczym. A u Buzarewicza była?

— Była, kochanieńki, była; wypatrzyła wszystko. Jak do własnej odryny poprowadzić mogę.

— Ładnie. Uda się — zarobisz.

— Już ja tobie ten zarobek daruję; wolej pomóż nieszczęśliwej; znów sierotę skrzywdzili.

— Kto ciebie skrzywdził?

— Kto! Jusiel przeklęty. Ja do niego przenocować zaszła, pobłądziwszy w lesie, a on, niegodny, papiery ważne u mnie wykradł. A wiesz ty? On, mówią, nadleśnego buntuje, żeby w smolarni rewizję zrobił.

Tak, rewizję, z policją, z żandarmami. Za niego by tobie wziąć się.

— Skrzywdził ciebie, powiadasz... papiery zabrał... Jakie papiery?

— Już ja tobie, jak ojcu rodzonemu, jak opiekunowi jedynemu, wszystko, całą prawdę powiem.

Baba umilkła na chwilę.

— Ty wiesz — zaczęła po przerwie — u mnie wnuczek był.

— Nie łżyj! Jaki on twój wnuczek.

— Nie łżę. Wnuczek. Prawda, nie rodzony, ale znaleziony.

— Kradziony, gadaj prosto.

Kobieta uderzyła się w zapadniętą pierś.

— Bóg świadkiem, nie ukradła ja jego. Znalazła. Koło stacji, w Rudziszkach. Był tłok, krzyk, zamieszanie. Wojsko uciekało, cywilni uciekali. Bo to wtedy jedno dziecko zginęło? Matka położyła w wagonie, wybiegła na chwilę. Przyszli żołnierze. Wagon—mówią — wojskowy. Dziecko won! Matka wraca, pociąg nagle rusza... Prosta historja.

. . . Tak, widzisz, ja malutkim zaopiekowała się. Może miał 15 miesięcy, może dwa lata. Chodził już, a kiedy u mnie sierotka — tak łatwiej ludzkie zatwardziałe serca zmiękczysz. Ale nie tylko ta mnie korzyść była. Przy dziecku dokumenty zawinięte znalazła. Z nich pokazało się, szlachecki syn, obywatelski syn. U nich folwark ładny, wiem przecież. Tak myślę sobie: może kiedy rodziców spotkam, dziecko oddam — wynagrodzą. A nie?.. — wychowam chłopaka i przez adwokata majątek wyprawuję.

. . . Ale zaszła ja raz na Porakiecie. Wiesz, gajówka samotna na odludziu.

— Wiem — potwierdził mężczyzna — tam Paweł Kurejko długie lata siedział.

— Ot, ten sam. Zaszła ja do niego raz na noc, jak teraz do Jusiela. Pytają, skąd u mnie wnuczek. Ja, głupia, całą historję po prawdzie im opowiedziała.

Kiedy Pawłowa usłyszała nazwisko chłopca — w płacz. „Mój panicz! — woła — toż ja właśnie w ich majątku urodziła się. Sieroteńka biedny.— I w krzyk na mnie: — Ukradła ty niegodna! Nie gadaj, że znalazła! My znamy twoje sprawki.—Pochwyciła dzieciaka. „Nie oddam!“ — woła. Skoczy wnet i Paweł na mnie: „Ty — krzyczy — taka, owaka! Policji ja ciebie oddam! W kajdany zakuję! Ze smolarzem ty spółkę masz i z nim razem kolegę mojego zamordowała”.

— Isz go! — wtrącił smolarz — jaki chytry.

— Cóż mnie, biednej sierocie, było robić! — westchnęła baba. — Ledwo ja z życiem od nich uciekła, dziecko ostawiwszy. Papiery tylko u mnie zostały się. A co chłopak wart bez papierów? Toż nikt wiary nie da, że on ten, a nie inny. Chowała więc ja te papiery, jak skarb; nigdzie, tylko przy sobie wciąż nosiła. Już nieraz Kurejko zaczajał się, chciał wykraść. Ale pilnowałam. A mając dokumenty, sama jeszcze mogłam nastawać, żeby mnie chłopca oddał, bo jakiem prawem on ma jego chować, a nie ja?

— No i wykradli ci nareszcie?

— Jusiel, Jusiel przeklęty. Zdrajca niegodny!..

— Tak coż ty odemnie chcesz? Żebym do Jusiela szedł?

— Do Jusiela niemasz poco. Papiery już, musi, Pawłowi przehandlował, a i tak—choćby jeszcze miał— podejść do niego „obojętnie“ (straszno, niebezpiecznie). Dla niego i strzelić do człowieka nietrudno.

— Prawda. Już ja jego wolę nie zagabać.

Baba nie odzywała się. Dopiero po chwili przystąpiła bliżej do mężczyzny, łypnęła w prawo i w lewo oczami, wreszcie rzekła prawie szeptem.

— Pomóż chłopaka Pawłowi zabrać.

— Daj sposób.

— Znajdę sposób, kiedy pomoc dasz.

Chłop milczał.

— Pomyśl — szeptała dalej kobieta — wykup może być. Ile każesz, dadzą — niech tylko ojciec do majątku wróci. A nie wróci — folwark wyprawujem.

— Bez papierów?

— Jak będzie u nas chłopak, to już Paweł i papierów pilnować nie będzie. Cóż jemu po nich. Nu, co?.. zgoda?

Smolarz nie odpowiadał. Przeciwnie, zaczął rozglądać się po swojej fabryce, jakby myślał tylko o dozorowaniu przerzucających węgle parobków.

— Pomyśl... — nastawała baba.

— Pomyślę — odrzucił jej krótko.

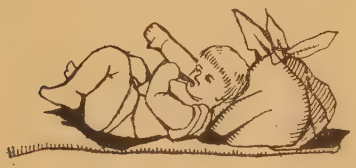

13. POŻAR LASU.

Już kilka dni temu pani Ławska z Wandzią wróciła do Wilna. Pozostawiła Sławkę. Przyjaźń jej z Magdusią bardzo się teraz zacieśniła. Całemi dniami dziewczynki nie rozstawały się z sobą; bawiły się i czytały razem. Mimo to, Magdusia miała tajemnicę, której nie wyjawiała nawet Sławce.

Nie wątpiła już, że wie, jakie jest prawdziwe pochodzenie Boluka, jak się on nazywa, kto jest jego dziadkiem. Chciała nieraz powiedzieć o tem ojcu, ale wstrzymywało ją słowo, dane chłopakowi. Wprawdzie sam Boluk znał ledwie część prawdy, ale wszak prosił, by i tej cząstki nie zdradzała nikomu,

Łąka już przekwitała. Wszędzie ponad trawą kołysały się delikatne wiechy mietlicy. Zieleń traciła pod niemi jaskrawość—wyglądała, jak przysypana szaro-fioletowym pyłkiem. Lada dzień mógł się zacząć sianokos i przerwać na pewien czas swobodę korzystania z rzeki. To też dziewczynki, by sobie wynagrodzić oczekiwaną krzywdę, biegały obecnie do kąpieli po kilka razy dziennie, do czego, zresztą, zachęcał nieustający upał.

Leżały właśnie obie panienki nad rzeką, rozkoszując się gorącemi promieniami słońca, nim po raz drugi skoczą do wody. Tuż nad nią unosiły się złoto-zielone łątki o przezroczystych skrzydełkach; na trawkach nadbrzeżnych siadały czarne ważki i kołysały się długo, by nagle ulecieć bez widocznego celu. To znów dwa białe motylki, krążąc dokoła siebie, zatańczyły w powietrzu,

jak dwa papierki, kapryśnym unoszone wietrzykiem, Co chwila rozlegało się bzykanie pszczoły i ustawało nagle, skoro owad spadał na upatrzony kwiat. Dziewczynki przypatrywały się ciekawie jego sumiennej pracy. Tylne nóżki, oblepione woskiem, musiały stanowić nielada ciężar, bo robotnica, zda się, ledwo dźwigała nisko opuszczony odwłok. Mimo to do każdego kielicha zajrzeć musiała; w większych kwiatach cała prawie kryła się na moment, a gdy siadała na kulce koniczyny, każdy płatek rewidowała kolejno, ze zdumiewającą pilnością, nie opuszczając ani jednego.

— Sucha już jesteś? — zapytała Magdusia.

— Sucha.

— To chodź, popluskamy się jeszcze.

— Ach, ta arytmetyka! — westchnęła dziewczynka.—Gdyby nie to, siedziałabym aż do obiadu w rzece.

Od kilku dni ojciec zaczął z nią powtarzać zadania arytmetyczne, więc o godz. 11 musiała być zawsze w domu.

— Nie nudzisz się, kiedy ja mam lekcję? — nagle spytała przyjaciółki.

— Jak czasem.

— Myślałam, że zawsze...

— A ty się nudziłaś, jak mnie tu nie było?

— Nie. Bawiłam się z innymi.

— A widzisz. Ja także bawię się z innymi.

Sławka zerwała się i skoczyła do wody. Magdusia pośpieszyła za nią i rozpoczęła się zwykła walka na ochlapywanie się wzajemne: kto kogo na brzeg wypędzi. Ale tej zabawie brakło dziś humoru. Za mocno jakoś chciały zwyciężyć jedna drugą.

— Ty jesteś wyższa, to tobie łatwiej! — zawołała Magdusia, ledwo dech łapiąc.

To powiedziawszy, zaczęła z taką pasją opryskiwać towarzyszkę, że ta odwróciła się plecami i broniła się, chlapiąc w tył.

Magdusia uważała, że „tak nie idzie". Sławka, przeciwnie, twierdziła, że „i tak idzie". Walka była nierozegrana i panienki wyszły z wody trochę nadąsane.

Na werandzie domu stał ojciec i, zdaleka spo-

strzegłszy wracającą córeczkę, wezwał, by się pośpieszyła. Przybiegła więc i poszła na lekcję. Arytmetyka była tego dnia daleko nudniejsza, niż zwykle.

— Jedna liczba — dyktował ojciec — jest o 189 większa od drugiej, a ich suma wynosi 603. Jakie to są liczby?

— To trzeba pomnożyć...

— Magdusiu, wczoraj rozwiązywaliśmy zupełnie takie same zadanie, zastanów się, przypomnij sobie.

— Zaraz, tatusiu...

Ciekawość ją brała nie tyle, jakie to są liczby, ile — co teraz robi Sławka, w co i z kim się bawi.

— Przypuśćmy — tłumaczył ojciec — że mniejsza z dwu liczb jest jeden...

— A ona tam bezemnie wcale się nie nudzi — z żalem serdecznym myślała Magdusia. I myśl ta z taką siłą uwięzła w głowie, że — mimo najlepszych chęci — dziewczynka wygnać jej nie mogła. Próżno mocowała się ze sobą, aby wniknąć w treść zadania i zainteresować się niem, próżno ojciec czynił jej wymówki, że „nic nie uważa". Ciekawość: co Sławka w tej chwili robi — przezwyciężała wszystko. Już Magdusi na płacz się zbierało, już łzy stawały jej w oczach, gdy nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich pan nadleśny w czapce z orzełkiem na głowie.

— Państwo, proszę do ognia! — rzekł tonem oficera, wydającego rozkaz.

— Pożar?—zapytał ojciec, zrywając się z miejsca.

— Las się pali — odpowiedział krótko i zawrócił.

Ojciec pośpieszył za nim.

Magdusia wybiegła kuchnią na podwórze. Brama parkanu była szeroko otwarta, przed nią stały cztery furmanki. Siedzieli na nich gajowi oraz młodzi chłopcy i dziewczęta. Ojciec skoczył na pierwszy wózek, nadleśny stał jeszcze na ziemi i sprawdzał, czy wszyscy gotowi. Raptem odwrócił się.

— Magdusiu — zawołał — pośpiesz się!

— Jakto?... i ja?...

— I ty. Wszyscy.

Ze zdziwieniem, ale i zadowoleniem wgramoliła się na wózek i siadła obok Jóźki.

— Co ja tam będę robiła? — zapytała dziewczyny.

— A ot, musi nam ziemia na ogień sypać przykażą.

— Przecież ja wcale tego nie potrafię.

— Nietrudno. Nauczą. A kiedy pożar—otkaza niemasz. Każdy musi iść. Raz pan nadleśny wesele był zatrzymawszy. Goście, co do kościoła, tak do ognia pognał. A drugi raz kupcy. Także samo. Do Wilna z Olkienik byli odprawiwszy sia. Potrzebował u ich, coby złazili z wozów i pomagali gasić. Nie chcesz — strzeli. Z nim wtedy nie żartuj.

Wozy zatrzymały się.

Las przy drodze był młody: sterczały tylko cienkie, smukłe sosenki. W pierwszej chwili Magdusia wcale nie zauważyła ognia. Poczuła tylko, że gorąco stało się bardziej duszne i rozchodził się wyraźnie zapach spalenizny. Wszyscy pozłazili z wozów i ruszyli na pomoc pracującym już gajowym. Najdzielniej uwijał się wysoki, barczysty brunet—Karpicz, dzielnie sekundował mu stary Zajul. Praca polegała na zasypywaniu łopatami ognia, wydobywającego się to tu, to ówdzie z pod wysuszonego igliwa, na którem rozlewały się — niczem kleksy na bibule—szybko rosnące czarne plamy. Gdzieniegdzie ogień wspinał się na drzewa. Narazie zdawało się Magdusi, że zadanie jest łatwe. Ale gdy sama zaczęła ziemię znosić i sypać, spostrzegła, jak nie można ufać skuteczności swej pracy. Oto już, zda się, mocno przydusiła ogień, już czarna plama znikła pod grubą kupą piasku, już dziewczynka poszła gdzieindziej — odwraca się — aż tu znów dawne miejsce tli się i po chwili znów zaczynają skakać z początku małe, potem coraz większe płomyki.

Nadleśny objął komendę. Jednym kazał zasypywać drobne płomienie, innych wysłał w głąb, aby kopali rowki i odmiatali igliwo, przenoszące ogień coraz dalej w las. Kto ustawał w pracy, tego przynaglał, nie zważając na zmęczenie, na pot, ociekający z czół. A Magdusia, nie chcąc narazić się na skarcenie, bie-

gała na wyścigi z Jóźką, napełniała spódniczkę piaskiem, zasypywała płomyki i deptała iskry.

Stopniowo widać ich było coraz mniej, coraz mniej — już tylko dymy unosiły się nad ziemią. Wkońcu pan nadleśny dał upragnione hasło do powrotu. Usadowiono się na wozach, a wygłodzone koniki pośpieszyły szparko — jak zawsze — w stronę stajni.

Wszyscy rozmawiali o pożarze i jego domniemanych przyczynach.

— Nie dziwno—mówił gajowy Zajul — takie skwary... Teraz codzień gdzieś pali się. Idzie człowiek, nie pamięta, rzuci papieros i gotowe...

Wjeżdżano do Wieczoryszek. Wkrótce dopędzono konie, wracające z pastwiska. Przodem, na bułanej klaczce jechała Sławka, za nią na kasztanku—Boluk.

14. KONIEC TAJEMNICY.

agdusia! Sławka! Chodźcie! — krzyczała Wikta, zbliżając się do okna pokoju dziewczynek — sarniuk przybłąkawszy się.

Panienki wybiegły jeszcze nieubrane.

Na sztywno rozkraczonych, ale bardzo zgrabnych nóżkach stało bronzowe zwierzątko wielkości konika na biegunach. Miało prześliczny, wąski pyszczek z czarnym noskiem, duże, ciemne oczy, długie, ruchliwe uszy, wdzięcznie wygiętą szyję, a choć wałkowaty tułów był może nieco za krótki w stosunku do wysokości nóg, — całość uderzała powabem, budzącym ogólną sympatję. Jeden tylko Bobik rwał się nieprzyjaźnie na łańcuchu i ujadał, jakby spostrzegł osobistego wroga.

Jak niedawno dokoła lisa, tak teraz wkrąg sarenki zebrała się gromadka dzieci i starszych, debatujących na temat: skąd się wziął, czy się uchowa i t. d. Ogólne było zdanie, że „sarniukowi“ przeszło miesiąc, ileże już spore różki można mu na łebku wymacać.

— Mlekiem jego wykarmisz, tak i przywyknie.

— Do roku. A pośle roku w las pójdzie. U jego swoboda ważna, w chlewie długo nie wyżyje.

— Ot, żywioł jaki! Drugi dla chlewa wszystko by oddawszy, a temu wolej głód i wilk, liszby swoboda była.

Stefcia przyniosła miseczkę mleka, a Magdusia niebieską wstążeczkę. Mleka pić nie chciał, a i na wstążce niebardzo się poznał, gdyż trzeba było użyć podstępu i gwałtu, by ją na szyi zawiązać. Ale w krawacie bardzo mu było do twarzy. Wobec jednak sta-

nowczej odmowy chłeptania mleka z miski, ktoś poradził butelkę. Poszukano, znaleziono — znalazł się nawet gumowy smoczek — który, gdy wpakowano malcowi do pyszczka, zaczął ssać łapczywie. Pochylał przytem coraz niżej przednią część ciała, by ssać od dołu i, jeszcze szerzej rozstawiwszy nogi, walił co chwila nosem, jak cielę w wymię krowy — tak, że butelka wypadała kilka razy z ręki Stefci i oblewała mlekiem całą mordkę zwierzęcia.

Posiliło się wreszcie i odrazu nabrało humoru, bo, spostrzegłszy lukę w kole otaczających go ludzi, szusnęło niespodzianie i, skacząc zabawnie, ale z gracją, w jednej chwili znalazło się w drugim końcu podwórza. Tu, jakby zapomniawszy o obecnych, sarniuk począł szczypać pojedyńcze trawki i listki, wybierając je nader wybrednie.

Starsi rozeszli się, odszedł Kaziuk i Boluk do zwykłych zajęć; pozostała tylko gromadka młodszych dzieci i dwie panienki, ciekawie zdaleka przyglądające się sarence. Bawiła je zgrabnemi ruchami, często dyktowanemi strachem, w którym nie było ani odrobiny rozsądku. Ale i ten brak rozsądku posiadał wiele śmiesznego wdzięku. Oto np. ni stąd ni zowąd, skakała w bok, pędziła, podbierając wysoko przednie kopytka i niespodzianie zatrzymywała się. Wystraszył ją przelatujący żuk, o którym, najwidoczniej, w trakcie ucieczki zapominała, ujrzawszy jakąś budzącą apetyt trawkę. Kiedyindziej znów przelękła się małej kaczuchny, a umknąwszy przed nią, zatrzymała się tuż przy Bobiku. Pies ładnieby ją urządził, gdyby go Sławka nie powstrzymała.

Prawie do samego obiadu miały dzieci zabawę z sarenką. Wystarczyło tych kilku godzin na pewne jej obłaskawienie. Sympatję zwłaszcza poczuła do Stefci, która zwierzątko parę razy nakarmiła. Biegła też do służącej za każdem jej pojawieniem się na podwórzu.

Łatwo się domyśleć, że skupienie uwagi na lekcji arytmetyki kosztowało Magdusię nie mniej wysiłku, niż wczoraj. Nie ciekawiło jej wprawdzie, co teraz robi

Sławka, ale zato wciąż myśl odrywał od zadań widok przyjaciółki, uganiającej się z Wiktą za sarniukiem, jako też rozkosznie zabawne jego skoki.

To też skoro tylko ojciec powstał z krzesła na znak, że lekcja skończona, Magdusia w jednej chwili znalazła się na podwórzu.

— Wiesz? — zawołała, przybiegając do Sławki — wymyśliłam zabawę.

— Jaką?

— Sarniuk będzie zaczarowanym królewiczem... On taki śliczny, taki zwinny!

— Dobrze...

Sławka urwała i zamyśliła się.

— Ale trzeba mieć i ropuchę — dodała po chwili.

— Ropuchę? Poco?

— No, niby na czarownicę.

— Nie, jabym się brzydziła.

— W takim razie..

Sławka nie dokończyła. Nagle, jakby przypomniawszy coś sobie, zawołała:

— Nie! prawda! nie potrzeba żadnej ropuchy. W tych stronach jest rzeczywista czarownica. Więc może być tak, że to niby ona...

Magdusia popatrzyła uważnie na przyjaciółkę.

— Prawdziwa czarownica?... Ty wiesz?..

— Tu ją przezywają Jadwisieńka-Oleńka.

— Widziałaś ją?

— Nie, ale mnie mówił...—Sławka nagle ugryzła się w język,

— Kto ci mówił? — indagowała Magdusia.

— Słyszałam... ktoś mi mówił...

Sławka najwidoczniej probowała coś ukryć.

— Boluk? — nacierała Magdusia.

— Tak, Boluk.

— A więcej nic ci nie mówił?

— Owszem, mówił, ale pod wielkim sekretem.

Magdusię słowa te bardzo nieprzyjemnie dotknęły. Widocznie—pomyślała sobie—on już ją uważa za taką samą przyjaciółkę, jak mnie.

— Bardzom ciekawa tego sekretu—rzekła z przekąsem.

— Nie mogę... przyrzekłam, że nikomu nie powiem.

— Tak?.. — wybuchnęła Magdusia — a ja mu także to samo przyrzekłam.

— Ty?

— Kiedy jeszcze ciebie tu nie było.

Zamilkły. Na twarzy Sławki malował się zawód.

— Nie — odezwała się wreszcie półgłosem — to chyba co innego.

— A co tobie powiedział?

— Powiedz najpierw, co tobie.

Przez jakiś czas certowały się. Żadna nie chciała powiedzieć pierwsza. Ale wkońcu zawołały prawie razem:

— Że ona jego porwała i uczyła żebraniny.

Gdy się wreszcie Magdusia upewniła, że tajemnica Boluka znana jest i Sławce, przez krótką chwilę było jej przykro, ale wnet znalazła satysfakcję w powiadomieniu Sławki, że czarownicę już dwa razy na własne oczy widziała.

— A ty jej nie widziałaś — dodała.

— Nie, nie widziałam — przyznała Sławka.

Pocieszywszy się tem, Magdusia znalazła wnet jeszcze jeden powód zadowolenia.

Jeżeli — pomyślała ona — Boluk sam rozgaduje swoją tajemnicę, to niepotrzebnie tak bardzo ukrywam ją przed ojcem.

Zastanowiła się i ostatecznie przyszła do przekonania, że, jeżeli ojca wtajemniczy w całą sprawę, to przecież Boluk tylko skorzystać na tem może. Powziąwszy ostatecznie decyzję, weszła do pokoju ojca i, zamknąwszy za sobą drzwi, opowiedziała mu wszystko, co jej w uszy wpadło. Mówiła o Jadwisieńce-Oleńce, o papierze, przyniesionym przez Jusiela, o gadaniach Kaziuka i t. p.

— Tylko — zakończyła—niech tatuś nic Pawłowi nie mówi, bo on gotów zbić Kaziuka, a może i kogo innego jeszcze.

— Dobrze — odpowiedział ojciec. Bądź spokojną. Sam tę rzecz zbadam. W tych dniach pojadę do Wilna, to postaram się odszukać tam staruszka, z którym jechaliśmy. Kto wie, może spotkanie z nami ułatwi mu jego poszukiwania.

— Tatusiu—dodała dziewczynka — ale czy ja dobrze zrobiłam, że zdradziłam ci tajemnicę Boluka. Przyrzekłam...

— Ach — przerwał ojciec — przecież mogłabyś mi wcale tego nie mówić, co ci powiedział Boluk. Daleko ważniejsze są tu okoliczności, o których dowiedziałaś się nie od niego i czego wcale nie obiecałaś nie mówić.

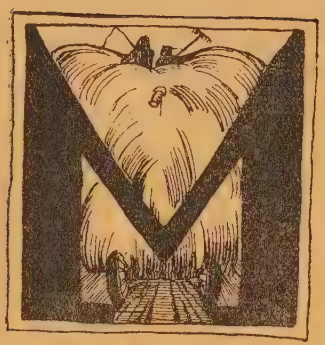

inął już skwarny lipiec, i sierpień zaczął ogołacać pola.

To tu, to owdzie znikały złote fale żyta, a na ich miejscu jeżyło się czerniejące rżysko. W lesie poziomki prawie znikły, choć gdzieniegdzie bieliły się spóźnione ich kwiateczki, lub czerwienił się między zielenią trójpalczastych liści wielki, ale cierpki, niesłodki owoc. Zato czarnych jagód taka była obfitość, że tylko kłaść się na ziemi i wprost ustami zbierać; niektóre zaś miejsca wyglądały, jak osypane koralami od borówek.

Nie brakło tu i grzybów. Dawno już nie widziano w puszczy takiego mnóstwa borowików — a każdy z nich jędrny, przysadzisty i opalony, jak cygan. Zaczęły też pojawiać się rydze, które dzieci przypiekały na rozpalonych kamieniach. Żaden grzyb nigdy tak nie smakuje, jak przyrządzony w ten sposób.

Ach, jakże się Sławce nie chciało wyjeżdżać!

A tu termin się zbliżał. Ojciec Magdusi obiecał pani Ławskiej, że Sławkę sam do Wilna odwiezie.

Nadszedł wreszcie przedostatni dzień pobytu jej w Wieczoryszkach i obie dziewczynki postanowiły użyć wszystkich możliwych przyjemności. Nabiegawszy się z samego rana za Maciusiem (takie imię nadano sarance), pośpieszyły do kąpieli. Nadokazywały się tu, napluskały, nagrzały w słońcu i poleciały z Wiktą do Jóźki na pastwisko. Z nadmiaru fantazji, po dwa razy przeszły niebezpieczną kładkę, a znalazłszy się na leśnej polanie, gdzie spotkały pastuszkę i jej krowy,

małemu Staśkowi sekretarza kazały pilnować bydła, same zaś we cztery wdarły się w gąszcz leszczyny. Zaczęło się skakanie po gałęziach i łupanie orzechów laskowych.

Gdy wreszcie nadeszło południe, a dowiedziały się, że Boluk jest niedaleko z końmi, wzięły znów Wiktę za przewodniczkę i póty hukały i biegały po lesie, aż chłopca odszukały, by konno na obiad przyczłapać do domu.

W drodze usłyszały od Boluka, że po obiedzie ma pojechać na łąkę, siano zwozić. Naturalnie, zapowiedziały obie, że mu towarzyszyć będą. To też przy stole zachowywały się tak, jakby szło o wyścigi: która pierwsza skończy; starsi jeszcze jedli w najlepsze, a one miały już puste talerze i niecierpliwie oglądały się za następnem daniem. Poprosiły wreszcie o pozwolenie wstania przed innymi, uzyskały zgodę ojca Magdusi na jazdę z Bolukiem i w minutę były już u Pawła.

Zdążyły. Kaziuk zaprzęgał bułankę i co chwila mówił jej jakąś impertynencję, choć zwierzę stało całkiem spokojnie i z rezygnacją poddawało się skomplikowanej operacji nakładania chomąta, ściągania duhy i wpychania żelaza między zęby.

— Stoj! dubina ty!—wrzeszczał Kaziuk, gdy tylko szkapa łbem ruszyła, by spędzić muchy, natrętnie obsiadające jej boki. Ludzie tutejsi nie rozmawiają ze zwierzętami inaczej, jak „po prostemu".

Nie czekając na Kaziuka, który miał jeszcze dorąbać trochę szczap w drewutni, Boluk skoczył na wóz, panienki za nim i jazda. Wydostali się na szeroki gościniec, zieloną wstęgą przecinający las. Gościniec ten, cały trawą porosły, w środku tylko wyjeżdżony był i żółty od piasku. Minęli pole, kłaniające się niezżętem jeszcze żytem, koło figury skręcili i, pozostawiwszy na boku wieś, przez most wjechali znów do lasu.

Trzymając się jego brzegu, mieli wciąż po lewej ręce przeświecające z za drzew łąki nadbrzeżne, a po prawej ciemną, ponurą gęstwinę.

— Borowiki tu jest — zauważył Boluk — warto ich popatrzeć.

Dziewczynki wyskoczyły z wozu. I rzeczywiście, miały już wkrótce kilka bardzo okazałych grzybów, a niebawem zaczęły się pojawiać i rydze.

Droga wiła się dziwacznie. Przejechawszy prawie milę, znaleźli się znów tak blisko nadleśnictwa, że słychać było wyraźnie płacz Krysi i ujadanie Bobika.

— A to co? — zawołała zdumiona Magdusia — wracamy do domu?

— Nie — wyjaśnił Boluk — toż my po drugiej stronie rzeki.

To powiedziawszy, wykierował konia z lasu, a wóz potoczył się miękko po rozległej, kwieciem osypanej łące, której spora część wyglądała, jak ogolona. Zatrzymali się w pobliżu stogu, tuż przy chrapiącym Pawle.

Siadł, ziewnął, przetarł oczy i leniwie podniósł się z ziemi. Wziął konia za uzdę, oprowadził dokoła stogu, żeby nie trzeba było potem zawracać i kiwnął na Boluka.

— Pokosim jeszcze, a ty weź grabie, kopki stawiaj z wczorajszego przekosu.

Boluk zrzucił marynarkę.

Odeszli pod las, poszukali narzędzi ukrytych pod ściętą trawą i Paweł z brzękiem naostrzył kosę. Potem jął równo posuwać się naprzód, zataczając kosą prawie półkola.

„Ćśsiu!.. ćśsiu!.. ćśsiu!..“ — świstało rytmicznie, a trawa kładła się, kładła... Zapadały z nią razem wysokie parasole krwawnika i dzikiej pietruszki, zapadały kołyszące się nad zielenią jasno żółte wiechy miodnika...

Co pewien czas Paweł odwracał „kosowisko“ i rozgarniał niem ściętą trawę, żeby ją szerzej rozrzucić; znów się rozlegało brzęczenie stali, ostrzonej „mięciuszką“ i znów — ćśsiu!.. ćśsiu!.. świstało dalej za każdym krokiem kosiarza.

Wkrótce przypędził Kaziuk na kasztanku i wziął się również za kosę, a panienki, napatrzywszy się, zaczęły biegać i przewracać się po skoszonej trawie, wskakiwać na stóg i staczać się po jego pochyłości.

Wesoły ich śmiech mieszał się ze świstem kos, parskaniem koni i dalekiemi odgłosami wsi.

Słońce staczało się nad las, blask jego słabł.

Robotnicy wznieśli nowy stóg z wczorajszych kopek i wreszcie przystąpili do ładowania pierwszego stogu na wóz.

Z zadowoleniem dowiedziały się dziewczynki, że w pracy tej mogą być pomocne przez udeptywanie siana wraz z Bolukiem. Nie było to zajęcie trudne. Bo czyż trudno skakać po sianie? Paweł z Kaziukiem wciąż nowe widłami narzucają kupy, siano pada na głowy, na ramiona, panienki prawie w niem nikną, ale wnet wygrzebują się i znów rozpoczynają skoki po wierzchu. A wierzch ten podnosi się coraz wyżej, coraz wyżej — już góra zrobiła się taka, że strach spojrzeć na dół. Wtedy Paweł położył na sianie drąg, ściągnął go z jednej i z drugiej strony sznurami i jął szykować się do drogi. Więc przedewszystkiem zagrzebano kosy w umówionem miejscu i przyodziano się.

Z głębi lasu odezwały się trąby pasterzy, zwołujących bydło. Czerwone słońce do połowy opadło już za drzewa, których gałęzie delikatną koronką zarysowywały się na tle purpurowem. Paweł, idąc obok wozu, poganiał, chłopcy pomęczeni wlekli się ztyłu piechotą, tylko dwie dziewczynki kołysały się słodko, jadąc wysoko na miękkiem, pachnącem sianie.

Wróciły na kolację.

Sławka posmutniała, co spostrzegłszy i Magdusia też straciła humor. Wyszły na werandę i długo w milczeniu przyglądały się srebrnej tarczy księżyca, wciąż dzielonej na drobne części przepływającemi chmurkami, a derkacz żegnał Sławkę swą dziwną pieśnią, przypominającą nakręcanie starego zegara.

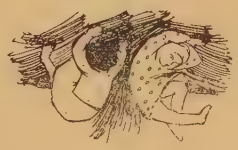

16. ZDZIŚ POLUJE.

dy ojciec, po odwiezieniu Sławki, wrócił z Wilna, Magdusia zamknęła się z nim w pokoju.

— Czy pamiętałeś — spytała — o sprawie Boluka?

— Owszem, najrozmaitszych ludzi wypytywałem o starego pana Witorta...

— I odszukałeś go? — niecierpliwie przerwała dziewczynka.

— Niestety, trafiłem tylko na ślad jego. Zapisał się do związku weteranów, ale po kilku tygodniach opuścił miasto i nikt nie wie, dokąd wyjechał.

— Czy niczego się nie dowiedział o swej synowej i wnuku?

— Dowiedział się, że zaraz w początkach wojny pojechała z maleństwem do krewnych na wieś. Udał się we wskazane miejsce, ale znalazł dwór doszczętnie zrujnowany i pusty. Stara babina, która gnieździła się w szczątkach jednego pokoju, opowiedziała mu, że państwo, razem z goszczącą u nich kuzynką pana, uciekli do Rosji, zmuszeni do tego przez kozaków. W kilka dni potem owa kuzynka wróciła piechotą, szukając synka, który jej w drodze przepadł. Biedna kobieta odchodziła od zmysłów; biegała od chaty do chaty, prosiła o pomoc. Ale cóż jej można było pomódz — zwłaszcza, że wieś prawie zupełnie była wyludniona. Poszła więc dalej szukać zgubionego dziecka i przepadła. Tyle tylko dowiedział się biedny sybirak.

— Więc co robić? — zawołała Magdusia.

— Na razie musimy czekać. Ogłosiłem w gazecie, że poszukuję p. Witorta dla udzielenia pewnych wskazówek w jego sprawie. Może przeczyta, może się zgłosi do nas?.. Ale nie wiem... Jeden z weteranów mówił mi, że starzec miał się udać do Dąbrowy, lub Sosnowca. Czy dojdzie go tam gazeta wileńska?..

Cały dzień chodziła Magdusia zmartwiona. Ilekroć spojrzała na Boluka, ogarniało ją wzruszenie. Ale chłopiec wcale się go nie domyślał. Był, jak zawsze, zupełnie zadowolony ze swego losu, pracował chętnie, żwawo i wesoło. Bardzo słuszną zatem wydawała się dziewczynce rada ojca, żeby Bolukowi nie mówić nic o jej co do niego przypuszczeniach. Więc choć ją nieraz korciło, ani słówkiem o nich nie wspominała; uważała się tylko za tajemniczą opiekunkę chłopca — za jego dobrą wróżkę, która niespodzianie może go z pastucha w panicza przemienić — naprzekór złej czarownicy, co poniżyła Boluka.

Na ten temat Magdusia puszczała często wodze swej bujnej fantazji. Wyobrażała sobie chwilę raptownej przemiany leśnego półdzikiego chłopaka w eleganckiego dziedzica wielkiego majątku. Ciekawa była, jak będzie wyglądał, gdy zrzuci szarą, podartą katanę, a wdzieje zgrabne, nowiutkie ubranko; zamiast zniszczonej furażerki, włoży na głowę miękki filcowy kapelusz, a na bose dziś nogi wciągnie błyszczące trzewiki...

Właśnie przechadzała się sama po lesie, wyobrażając sobie szczegółowo, jak to wszystko będzie, gdy usłyszała szybki tętent i turkot kół na gościńcu. Wdrapała się na osypany czarnemi szyszkami pagórek i po chwili ujrzała posuwający się ku niej żółty wolant, zaprzężony w dwa cugowe konie, błyszczące piękną krakowską uprzężą.

Przyszło jej na myśl, że oto zamienia się fantazja w rzeczywistość; że jako dobra wróżka samem swojem życzeniem sprowadza starego pana — Bolukowego dziadka i że wnet nastąpi oczekiwana metamorfoza.

Nie ruszając się z miejsca, czekała z niepokojem, czy pojazd minie Wieczoryszki, czy też z gościńca skręci ku nim.

Skręcił.

Skoczyła z pagórka i pędem puściła się w stronę domu.

Zdaleka widziała żółty wolant, zajeżdżający przed nadleśnictwo, ale widok ten wnet zasłoniły drzewa, a że w dodatku i droga opuściła się niżej, więc znikły z oczu i całe Wieczoryszki. Gdy je znów ujrzała, powóz zawracał już pusty ku stajniom. Przebiegła mostek i raptem zatrzymała się zdziwiona. Bo oto z chaty Pawła wyszedł zręczny, ślicznie ubrany chłopczyk, a po chwili ukazał się na werandzie domu nadleśnego i znikł w sieni.

— Czyżby Boluk zdążył się już przebrać?

Ciekawość przyśpieszyła kroki dziewczynki. Przez podwórze i kuchnię wbiegła do mieszkania, ale już w korytarzu spotkało ją rozczarowanie.

W drzwiach jadalni stał chłopczyk—zgrabny i ładnie ubrany, ale nie był on wcale Bolukiem.

Magdusia zatrzymała się trochę onieśmielona. Nieznajomy, bawiąc się szpicrutą i nie ustępując z drogi, przyglądał jej się wyzywająco.

— Przepraszam — rzekła, chcąc się dostać do pokoju.

Lecz chłopiec wziął się pod boki — tak, że całe przejście zatarasował i rzekł przekornie:

— A jeśli nie puszczę, to co?

— To będzie niemądre — odpowiedziała spokojnie; odsunęła mu łokieć i przestąpiła próg.

Chłopiec odwrócił się i patrzył za nią, trzepiąc sobie nogi szpicrutą.

— Kto to przyjechał? — spytała Magdusia, wchodząc do pokoju ojca.

— Dyrektor. Zwierzchnik pana nadleśnego; przybył z Wilna w jakiejś ważnej sprawie.

— A ten chłopczyk?

— To jego syn.

— Wcale mi się nie podoba.

Poproszono na obiad. Do stołu zasiadł obcy pan, którego gospodarz zaznajomił z ojcem. Ojciec przedstawił Magdusię. Dygnęła. Obcy pan podał jej rękę.

— A to mój syn, Zdziś—rzekł prezentując chłopca.

Malec wydął pogardliwie usta i zdaleka kiwnął głową.

Zajęto miejsca za stołem, służąca podała chłodnik; umilkły rozmowy, zabrały głos łyżki. Nagle, śród ogólnej ciszy, odezwał się panicz:

— Chłodnik bez szyjek rakowych?.. Nie, ja takiego nie jadam. I odsunął talerz.

Pani nadleśna, śliczna kobieta, idealnej dobroci i łagodności — zaczerwieniła się i przygryzła wargi. Pan nadleśny spojrzał na gościa, potem na jego syna, a z oczu jego, w których zawsze żbik się czaił, można było wyczytać: „Gdybyście nie byli moimi gośćmi, wyrzuciłbym smyka za drzwi".

Zdziś, niezrażony tem, krytykował następnie kaszę gryczaną, podaną do zrazów, jak również, służące za deser, pierogi z czarnych jagód. Uwagi chłopca, wobec których ojciec jego wydawał się bezradny, zwarzyły humor towarzystwa. Kończono obiad w milczeniu, gdy Zdziś odezwał się do Magdusi tonem rozkazującym:

— Będziesz się ze mną bawiła.

— Nie wiem... zobaczę — odrzekła.

— A co myślisz robić po obiedzie?

— Zazwyczaj doskonale się bawię z dziećmi stróża Pawła.

— Ach, byłem w tej chacie. Tam tak śmierdzi...

— Znam chłopców, którzy pachną, a są źle wychowani — odrzekła Magdusia. Bardzo pokochała żonę nadleśnego i nie mogła darować wyrządzonych jej przez Zdzisia przykrości.

Teraz zaczerwienił się z kolei pan dyrektor, a chłopiec udał, że nie rozumie kogo Magdusia ma na myśli; wstał od stołu, kiwnął łaskawie głową i wyszedł z pokoju, szurając nogami.

Dziewczynka postanowiła nie bawić się ze Zdzisiem i skoro tylko obiad się skończył, pobiegła do chaty Pawła. Stróż dostał właśnie nowy rój pszczół do przygotowanego niedawno ula i wraz z chłopcami zabierał się do osadzenia matki. Była ona zamknięta

w drewnianej klateczce. Magdusia przypatrywała sie robocie z wielką ciekawością, a Paweł objaśniał.

— Jak matka będzie w ulu, już i cały rój w ulu. Zato matka trzeba kilka dni trzymać zamknięta, nie puskać, aż ona przywyknie.

— A czy potem ją się z tej klateczki wyjmie? — zagadnęła Magdusia.

— Obowiązkowie — odpowiedział Paweł, owijając głowę szmatami, żeby go pszczoły nie pokłóły.

Nagle rozległ się strzał. Ale nie był to mocny huk karabinowy, ani strzelby myśliwskiej. Głupi, suchy trzask... Boluk i Magdusia wyszli z chaty zaciekawieni. W pobliżu stał Zdziś z dymiącym flowerem w ręku.

— Toś ty strzelił? — spytała dziewczynka.

— Ale nie czekała odpowiedzi. Oczy jej zapłonęły, pięści zacisnęły się. Przed gankiem ujrzała w piasku martwą jaskółkę. Jaskółkę tę znała doskonale. Miała nad oknem chaty gniazdo, a w niem kilkoro piskląt.

— Jak mogłeś, jak mogłeś!,. — wołała prawie z płaczem Magdusia.

— Nie wolno mi?.. — wzruszył ramionami — może ty zabronisz?

— Nie mogę zabronić, ale mogę powiedzieć, że to wstyd, wstyd!.. Prawdziwy strzelec nie zabija jaskółki w gnieździe.

— Wstyd?.. Podług mnie większy wstyd bawić się z byle pastuchem. Tu Zdziś spojrzał na Boluka z najwyższą pogardą.

Magdusia odstąpiła krok w tył, objęła Boluka za szyję i, podnosząc głowę, rzekła:

— Ten pastuch jastrzębie zabija w locie, a nie jaskółki w gnieździe. Z nim nie wstydzę się bawić; wstydziłabym się zadawać z takimi rycerzami, jak ty.

Odwróciła się, podniosła martwego ptaszka i weszła z Bolukiem do chaty.

17. W UROCZYSKU.

ama, mama przyjechała!

Zgoła nieoczekiwana, przybyła z Warszawy późnym wieczorem, gdy Magdusia już zasypiała. Na widok matki, dziewczynka w jednej chwili rozcmuchała się, usiadła na łóżku i po długich, gorących uściskach, zaczęła opowiadać wszystko, co dotąd przeżyła w Wieczoryszkach. Naturalnie, przedstawiła też całą sprawę Boluka i upewniła się, że mama weźmie ją do serca; wreszcie zakończyła opowieścią o niegodnym postępku Zdzisia.

— Bardzo jestem rada — mówiła — że sobie już pojechał. Pyszni się niewiadomo czem: że jego ojciec jest dyrektorem, że mają piękny powóz i wielki majątek ziemski — czyż to jego zasługa?

Mama była zdrożona, więc niedługo mogła gawędzić i poszła spać.

Magdusia jednak miała tej nocy sen lekki i skoro świt zerwała się z łóżka. Narzuciła tylko różowy szlafroczek, wzięła dzbanek i pobiegła do parku, nazbierać czarnych jagód na śniadanie dla mamy.

Powróciwszy z pełnym dzbankiem, zauważyła, że przed domem od strony drogi stało kilka furmanek. Zajrzała na podwórze. Tu również były obce wozy, a przy płocie stało kilka osiodłanych koni.

Stefcia wychodziła właśnie z obory, niosąc wiadro z mlekiem.

Co to takiego? Skąd te furmanki? — zapytała dziewczyny Magdusia.

— Nie wiem. Pan nadleśny przyzwał gajowych, jakaś narada. Przyjechał także międzyrzecki leśniczy i kilku podleśnych.

Dziewczynka zajrzała do sieni. Była pełna. Gajowi w czapkach z zielonemi lampasami, w żółtawo-szarych kubrakach i z fuzjami, przewieszonemi przez plecy, siedzieli na ławach i żywo rozmawiali. Co chwila podnosił się któryś, wezwany do kancelarji i znikał w jej drzwiach. Pobiegła do Pawła.

Tu dopiero dowiedziała się, że ma być wielkie polowanie, na które przyjedzie z Wilna bardzo ważna osoba.

Machnęła ręką.

— Dla mnie—rzekła — najważniejsza jest mama.

Wróciła do domu. Na palcach zbliżyła się do jej pokoju. Zajrzała. Mama już wstawała. Więc nowe uściski, nowe opowiadania...

— Dobrzeście trafili — rzekł pan nadleśny podczas śniadania do mamy (kolegowali ze sobą na uniwersytecie w Zurychu, więc byli na „wy"). — Mam dziś duży objazd, mogę was zabrać.

— Doskonale — odrzekła mama.

— A ja? — szepnęła Magdusia.

Okazało się, że amatorami towarzyszenia nadleśnemu byli wszyscy: i ojciec i pani nadleśna. Zdecydowano więc, przy sposobności objazdu, urządzić ogólną wycieczkę.

O 12-tej podano obiad i zaraz po obiedzie całe towarzystwo usadowiło się na bryczce. Wobec braku miejsca nie wzięto furmana i pan nadleśny powoził sam.

— Pokażę wam — mówił — najwspanialszą część puszczy, tę, gdzie w roku 63-m kryli się nasi powstańcy.

Jakiś czas jechano lasami, które Magdusia mniej lub więcej znała — tak, że nawet mogła mamie służyć objaśnieniami.

— Widzisz, mamusiu, w tym sosnowym borze było niedawno mnóstwo borowików Teraz znikły, ale

pojawiają się już rydze. A tam, spójrz tylko, co jagód! Jak będziesz chciała zbierać, to cię zaprowadzę.

— Daleko ciągnie się las? — zapytała mama.

— Ho-ho!.. — uśmiechnął się nadleśny. — Moglibyśmy jechać 30 kilometrów i nie wynurzać się z zarośli. Ba! nie spotkać ani jednej ludzkiej osady.

Mimo to, widoki zaczynały się zmieniać: to migał sztywnemi słupami cichy bór sosnowy, to czarno-biały brzeźniak drobnemi trzepotał listkami, to szumiała sędziwa, przepastna dąbrowa. Raz bujna, skłębiona roślinność pławiła się w bagnach, to znów rzadkie pnie sterczały na piasku, ledwie przysypanym brunatnemi igłami.

Słońce wyraźnie już staczało się na zachód, gdy oczom jadących ukazała się dość szeroką, niezalesiona przestrzeń, pokryta lekko fioletowym wrzosem. Pośrodku, nieco na prawo, wznosił się pagórek, a na jego szczycie sterczał czarny granitowy obelisk. Towarzystwo zsiadło z bryczki i zbliżyło się do pomnika. Złoconemi, zacierającemi się już literami wypisane było imię i nazwisko rosyjskiego „gieroja“ (bohatera), który niedaleko tego miejsca padł w walce z „miatieżnikami“ (buntownikami). Po przeciwnej stronie na obelisku umieszczono długi opis bitwy i datę wzniesienia pomnika — stosunkowo niedawną. Znacznie prędzej, zdaje się, niż go namyśliła się postawić wdzięczna ojczyzna bohatera — czas śpieszył zniszczyć pamiątkę. Czasowi pomagali, oczywiście, włościanie okoliczni, którzy zdążyli powyrywać żelazne pręty ogrodzenia i obruszyć podmurowanie.

Nim usadowiono się ponownie na bryczce, nadleśny strzelił.

W kilka chwil odpowiedział mu zoddali inny strzał.

— Możemy jechać. Gajowy czeka. Siadajcie.

Dokoła drogi stłoczył się wkrótce las, jakiego dotąd Magdusia jeszcze nie widziała. Las dziewiczy, dziki, ponury, gęsty. Tak wyobrażała sobie lasy Ameryki Południowej, czytając książki Mine Reide'a. Olbrzymie, zwarte kotłowisko roślinności. Pnie grube i cienkie,

pogięte i proste, drzewa szpilkowe i liściaste, krzaki, krzewy, chwasty — wszystko splątało się ze sobą, zbiło w jedną masę zieloności przeróżnych odcieni.

Po 20 minutach drogi spostrzegli wychodzącego z zarośli gajowego.

Zsiedli znów z bryczki. Gajowy poprowadził towarzystwo w głąb gęstwiny. Szli „gęsiego", walcząc z chmurami komarów i z trudem wydobywając nogi to z plątaniny chwastów, to z grzązkiego gruntu, który co kilka kroków zapadał się niespodzianie pod stopami. Wreszcie gajowy zatrzymał się. Wskazał niewielki dołek, jakby wydrążoną w ziemi i wyłożoną kamykami miednicę, pełną czystej, jak kryształ, wody.

Gdy objaśnił, że to jest właśnie początek rzeki, dziewczynce w pierwszej chwili wierzyć się temu nie chciało. A kiedy ją upewniono, że tak jest przecież istotnie, długo z podziwu wyjść nie mogła. Gajowy zaczerpnął wodę kubkiem i podał do sprobowania. Zimna była, jak lód i smaczna.

O kilkadziesiąt kroków dalej, wąską drożynką między bagnami, towarzystwo dotarło do uroczyska, gdzie blisko 60 lat temu powstańcy mieli kryjówkę.

Jakiś czas nikt nie mówił. Wszyscy stali wpatrzeni w to święte miejsce, a na obliczach malowało się nieme, za gardziel chwytające wzruszenie. Jakie obrazy przeleciały wówczas przez głowę dziewczynki — z tego sama jasno nie zdawała sobie sprawy. Przypomniał jej się leżący na biurku ojca album obrazów „Grottgera". Toć przecież tylko tu stać mogła owa grupka powstańców, co — oparci o siebie w kółko plecami — bronili się w zajadłem milczeniu, strzelając na wszystkie strony... Czyż nie przez ten las płynęła śmierć „Lithuanii"? A jakie pieśni musiał on słyszeć?.. Jakie echa roznosił!..

Magdusia wpatruje się w poszczególne drzewa. Te same, te same! stały i 60 lat temu. Ach! gdyby mówić umiały!

Komary gryzły niemiłosiernie, aż zbudziły z odrętwienia wędrowców. Trochę wstyd było przyznać się do ucieczki przed małymi krwiożercami; więc nikt nie

mówił dlaczego, ale każdy zaczynał chyłkiem przybliżać się ku drodze, machając na wszystkie strony rękami.

Gdy wreszcie towarzystwo wydostało się z gęstwiny, gajowy zbliżył się do pana nadleśnego i zasalutował.

— Teraz poproszę zrobić mi honor. Córkę dziś za mąż wydajem. Nie łaska wstąpić do chaty?

Wszyscy z radością przyjęli zaproszenie i wypoczęte koniki ruszyły z kopyta.

18. NA WESELU.

a tle lasu — zagroda.

Chałupa huczy, jak ul; przez gwar przerzyna się piskliwe dudlenie skrzypiec.

Dokoła—istne oblężenie. Podwórze pełne wozów. Sterczą do góry podniesione hołoble. Konie parskają, rozrzucając siano. Do okien wspina się gromadka bosych malców, ciekawa, co też to tam w izbie się dzieje. Tu i owdzie grupka starszych gospodarzy. Bez czapek. Wyszli na powietrze, pogwarzyć. Ubrani z miejska, kurzą fajki, papierosy — niektórzy już nieco podchmieleni, mówią głośniej od innych, wymachując żywo rękami. A tam znów od strony sadu słychać wesołe piski baraszkujących dziewcząt i zawadjackie śmiechy parobków... Bieganina, tarmosząca gęste krzaki malin, agrestu, porzeczek.

Zaturkotała bryczka i wszystkie oczy w jej stronę się zwróciły.

— Prosim do chaty.

Gajowy kłania się, uprzejmie wskazuje drogę. A na ganku czeka już gospodyni, przystojna jeszcze kobieta w białej kosynce na głowie.

— Kiedy łaska, państwo.

Wejście znakomitszych gości wywołało trochę rumoru w przepełnionej izbie. Miejsca dziś tu dosyć, bo usunięto łóżka. Tylko obrazy święte na pięknie wybielonych ścianach i dwa długie stoły pod ścianami. Bieluteńkiemi obrusami nakryte, dźwigają wielkie bochenki czarnego i białego chleba, śledzie, ogórki, miód...

Cały pułk butelek stoi dokoła ogromnego półmiska z pokrajaną „kwaszeniną“, a babki gryczane dodają odświętnego wyglądu zastawie.

Kończono tańce przy piskliwych tonach skrzypeczki i oto w drzwiach ukazała się panna młoda. Ładna rumiana blondynka, o błękitnych oczach, w białej sukni i welonie wyglądała, jak z cukru. Do młodej zbliżył się zaraz oblubieniec, niebrzydki szatyn w czarnej marynarce z białą kokardą i zieloną gałązką jedliny w klapie; tuż za nim pośpieszyli swat i „swacia“. Swat—mężczyzna średniego wieku i średniego wzrostu, podkręcał co chwila długie płowe wąsy dla dodania sobie fantazji, a z oczu filut mu wyzierał.

Zbliżywszy się do panny młodej, zaśpiewał:

„Zakukała zieziula na hruszy.
„Zapłakała Alenia po uszy.
„Oj, przyjechał Władunia i nie płacz.
„Waźmi chusteczka i abtarć“.

Poprowadził następnie młodą parę ku końcowi stołu, gdzie przygotowana była odkorkowana butelka i nakrajane drobne kromki białej bułki. Stanąwszy tu, zawołał.

— A gdzie to jest ojciec panny młodej, a gdzie to jej matka? Ci darują (w znaczeniu: obdarują), czem pannę młodą?

Wysunął sie wnet gajowy z żoną. Ona niosła białą bułkę i piernik. On — kilka sztuk złotych i srebrnych monet.

— „Darujem ciebie“, dziecko — rzekł, kładąc na tacy pieniądze — nie srebrem, nie złotem, ale sercem naszem szczerem.

Wypili po kieliszku wódki i przekąsili kromką chleba białego.

Następnie wyzwał swat rodziców pana młodego i ta sama powtórzyła się scena.

— A gdzie to „dziadźka“ Połubianko Wincenty?— zawołał swat, rozglądając się dokoła—niechaj przybywa, niech daruje pana młodego. „Bo kiedy tu nie przybędzie, to na koźle jeździć będzie“.

Bardzo się ten dowcip spodobał i śród ogólnego śmiechu zbliżył się „dziadźka“ (wujek) Połubianko, położył trzy papierki po 1000 marek, a wypiwszy kieliszek i ucałowawszy panią i pana młodego, cofnął się w tłum gości.

Długo jeszcze ciągnęło się dalsze wywoływanie darowizn, któremu towarzyszyły przeróżne dowcipy wymownego swata, wygłaszane zarówno wierszem, jak prozą, tak po polsku, jak po białorusku—aż wreszcie urosła na tacy spora kupka papierowych i metalowych pieniędzy, a oprócz tego pojawiły się sztuki płótna i rozmaite inne cenne upominki.

Po zakończeniu tradycyjnego obrzędu darowizn, swat dał hasło do zajęcia miejsc przy stole. Na honorowem miejscu posadził młodą parę, a obok niej — nadleśnego z towarzystwem, w którem była i Magdusia.

Podano cztery dymiące michy kapuśniaku. Swat powstał i zaśpiewał:

„I pijcie, i jedzcie, panowie gości,
bo jestem wysłany od jegomości.
Chapajcie, łapajcie kapustu z miasem
i naszą kucharka pochwalcie czasem“.

Wnet wysunęła się owa kucharka, t. j. sąsiadka, która wzięła na siebie przyrządzenie potraw, i, położywszy na środku stołu „połonik“ (dużą drewnianą łyżkę), pokłoniła się kompanji, mówiąc:

— „Wstępuję na ten próg szczęśliwy,
daję ukłon życzliwy,
temu domu święconemu,
temu aktu weselnemu
i temu kołu,
którzy siedzą koło stołu“.

Znów posypały się pieniądze, tym razem na „połonik“. Ale każdy dający uważał za konieczne uczynić kucharce jakąś złośliwą uwagę. Więc temu było za mało soli, inny skarżył się, że kapuśniak niedopieprzony; wreszcie jakiś dowcipniś zarzucił kucharce, że niepotrzebnie własne włosy w zupie gotuje.

Kobieta odcinała się, jak mogła, zagarniając pieniądze z łyżki, a gdy zaprzestano składać datki, talerze zaś opróżniły się, wróciła do komina i miski po kapuśniaku napełniła wieprzowiną, gorącemi kiełbasami, kiszkami i innem mięsiwem.

Swat nalał sobie kieliszek. Wnet inni goście uczynili to samo. Muzykant zagrał „wiwat“ i wszyscy wypili zdrowie młodej pary.

Lecz oto do owej młodej pary zbliżył się skrzypek.

Magdusia teraz dopiero spostrzegła, że był nim Boluk. Położył smyczek na stole, pokłonił się panu młodemu i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Dobry wieczór dla państwa młodych.

Na smyczku ukazał się papierek pięćsetmarkowy. Boluk schował go do kieszeni i na cześć ofiarodawcy zagrał krakowiaka. Kolejno obchodził potem gości i kładąc smyczek powtarzał:

— „Dobry wieczór dla ojca pana młodego“. — Dobry wieczór dla ojca pani młodej“. — „Dobry wieczór dla dziadźki“. — „Dobry wieczór dla kuma“... i t. d. A pieniądze wciąż kładziono, on wciąż chował i na podziękowanie grał każdemu co innego.

Skończyła się wieczerza, znów zaczęły się tańce ale podniecone trunkami humory stwarzały nastrój coraz mniej ceremonjalny — tak, że pan nadleśny uznał, iż dość już zrobił honoru swą obecnością i dał znak do wycofania się „po angielsku“. Pożegnano więc tylko gospodarzy oraz młodą parę, gajowy założył konie i — w drogę,

Noc nie była ciemna. Księżyc o mocno spuchniętym policzku świecił akurat nad drogą. Magdusia, siedząc na przedniem siedzeniu, miała jeszcze pewien czas chatę gajowego przed oczami.

Wtem, wyraźnie zauważyła coś, co ją zaniepokoiło. Oparta o płot, stała tyłem do drogi baba w żółtej spódnicy i niebieskim kaftanie.

Czekała tu na kogoś?

Na kogo?

Magdusię strach wziął o Boluka. Wpatrywała się uważnie w kobietę, a różne myśli przelatywały jej przez głowę. Możeby zatrzymać bryczkę, pobiedz, uprzedzić go?

A jeżeli ją wyśmieje? Czyż on się boi Jadwisieńki-Oleńki?

Bryczka skręciła w bok, chata gajowego znikła z oczu i tylko przez kilka chwil jeszcze błyskało poprzez drzewa oświetlone okienko i dolatywały piskliwe dźwięki Bolukowych skrzypiec.

19. DOBRA WIADOMOŚĆ.

ocznicę 6 sierpnia — dnia przekroczenia w roku 1914 granicy rosyjskiej przez Legjony Piłsudskiego — Kraków obchodził uroczyście. Cały olbrzymi rynek łopotał biało - amarantowemi chorągwiami, wystroiły się w nie i długie krużganki Sukiennic, a „ratuszowa wieża“ odwachu cała obwieszona była zielonemi girlandami. W którąkolwiek spojrzało się ulicę— Sławkowską, Florjańską, Szewcką, czy Grodzką — wszędzie radowały oko jasne barwy narodowe sztandarów, tworzących niknące wdali festony na ukośnie sterczących drzewcach.

Z wystaw sklepowych spoglądały, przybrane dębowemi i laurowemi liśćmi, wizerunki Naczelnika Państwa, lub też srebrzył się na czerwonem tle Orzeł Biały.

Po uroczystości wojskowej na Błoniach, tłumy powracały w nastroju świątecznym, a co chwila rozlegały się dźwięki orkiestr przechodzących oddziałów, wyprzedzane przez gromady malców.

Przed kościołem Marjackim stała grupka weteranów.

Siwe, wiekiem pochylone głowy usiłowali trzymać prosto, po żołniersku, przykładali dwa palce do granatowych kaszkietów, salutując sztandary maszerujących pułków i starali się nie zdradzać głębokiego wzruszenia, które niejednemu łzy radości wyciskały z oczu.

— Dożyliśmy!.. dożyliśmy!.. — szeptał drżącemi

wargami łysy, chudy starzec w ciemnych okularach, którego wygląd obecny nie zachował żadnego śladu rycerskiej przeszłości.

— A ilu było takich — westchnął ktoś ztyłu — co już zwątpili, rezygnowali...

Pierwszy weteran obejrzał się. Stał za nim krępy, barczysty mężczyzna, którego twarz czerstwa, rumiana, gdyby nie siwy zarost, zgoła nie licowałaby z czapką weterańską.

— Zwątpili? — wykrzyknął suchy starzec w okularach, a w głosie jego była wymówka i zgorszenie.

— Czyż nie? — podjął znów tamten. — Ja przyznaję się otwarcie, że już na naszej niepodległości położyłem krzyżyk. Miałem w Kielcach sklep, dobrze mi się działo, a Rosję poczytywałem za potęgę niezwalczoną. To też uważałem, ze mają rację ci, co szukają z nią porozumienia i gotowi są poprzestać na autonomji. Ale choć sam tak upadłem na duchu, krew moja grała dalej — grała w dzieciakach moich. Tak, panie kolego, w dzieciakach odżyła nasza własna młodość, ta młodość, którą my przestawaliśmy już rozumieć, której niejeden zapierał się nawet.

— Masz kolega rację — wtrącił inny weteran — toć ja przecież broniłem memu chłopcu pójść do Legjonów. Wykradł mi się z domu. Dziś biję się w piersi, przyznaję, że dobrze uczynił.

Przez Rynek przechodził właśnie dziwny oddział wojska, w którym żołnierze pomieszani byli z cywilami.

— To pierwsza kadrowa — objaśnił ktoś — ci, co pierwsi poszli. Obecnie część ich już wystąpiła z wojska.

— Vivat dzieci! krzyknął krępy, rumiany starzec.

— Vivat *nasze* dzieci! — zawołali chórem wszyscy weterani.

Kadrowcy wyprężyli się na baczność i mijali starców, marszem ceremonjalnym, a prowadzący ich oficer oddał honory wojskowe powstańcom z gorliwością, nie dającą się pomieścić w żadnym regulaminie.

Weterani szli grupkami ulicą Florjańską ku Plantom. Do owych dwu, co rozmawiali ze sobą na Rynku,

przyłączył się teraz trzeci, staruszek z długiemi siwemi wąsami.

— Nie można dziwić się — mówił, ciągnąc nieco z litewska — że część naszych kolegów już była pogodziła się z losem. Ogień młodzieńczy nie płonie całe życie — gaśnie wcześniej niż ono.

— I nie mądrzeje się całe życie — wtrącił kupiec kielecki — tylko do pewnego wieku.

— Mnie — ciągnął dalej Litwin — carat sam uchronił od zupełnego poniechania ideałów młodości.

— Carat? — zdziwili się towarzysze.

— A tak. Aż do późnej starości trzymał na zesłaniu. Tem samem nierozerwalną nicią wiązał życie moje z przeszłością, nie dawał ani na chwilę zapomnieć o niej. A każdy wybuch tęsknoty za krajem podniecał nienawiść do prześladowcy narodu.

— Kolega dawno powrócił z Syberji?

— Nie, niedawno: już po oddaniu syna jedynaka Ojczyźnie.

Zamilkł na chwilę i dłonią twarz roztarł.

— Ja syna nie powstrzymywałem. A wiecie dlaczego?.. Bo na wygnaniu byłem wciąż starym dzieciakiem — wierzącym, marzącym i nietracącym nadziei, że Bóg nie opuści dobrej sprawy, że przed Jego majestatem słuszność potężniejsza jest od armat i bagnetów.

— To kolega masz syna wśród tych kadrowców?

Starzec chwilę milczał.

— Miałem — szepnął wreszcie.

Wszyscy zatrzymali się i po kolei uścisnęli mu rękę.

Jakiś czas nikt się nie odzywał. Minęli bramę Florjańską i szli w milczeniu, skręciwszy koło Barbakanu na Planty. Południowe słońce złociło długą aleję, przez zielone krzaki i czarne pnie kasztanow przeglądały czerwone cegły starego miejskiego muru.

Starcy posuwali się wolno, a przechodnie z szacunkiem ustępowali im z drogi. Koło placu Szczepańskiego zatrzymali się na chwilę, a ponieważ do obiadu,

na który byli zaproszeni, mieli jeszcze przeszło godzinę, wstąpili do kawiarni na gazety.

W obszernej, jasnej sali rojno było, jak w dniu świątecznym. W pierwszej chwili zdawało się, że niema tu ani jednego wolnego stolika. Ale na widok weterańskich kaszkietów uprzejmie zakrzątnęli się kelnerzy, z pomocą pośpieszyła im publiczność i niebawem znalazły się miejsca. Staruszkowie rozsiedli się. Niektórzy gawędzili, pijąc kawę, mleko, herbatę, inni przeglądali pisma, sterczące na żółtych kijach. Każdy szukał wiadomości ze swoich stron rodzinnych. Ten poprosił o gazety z Warszawy, ów ze Lwowa, inny z Lublina.

— A nie znalazłoby się jakie pismo wileńskie? — zapytał przechodzącego kelnera wąsaty Litwin.

— Zaprenumerowaliśmy — brzmiała odpowiedź — ale przychodzą bardzo nieregularnie.

— Może jednak macie, choćby starą gazetę?

— Zobaczę.

Kelner znikł. Minęło kilka minut i staruszek, straciwszy, widać, nadzieję, że pismo wileńskie otrzyma, wziął jakiś inny dziennik. Wtem nadbiegł mały „pikolo“ i podał dwa postrzępione numery.

— Wileńskie — rzekł — tylko te znalazłem.

— Bóg zapłać, chłopcze.

Weteran wziął ostrożnie porwaną szmatę i jął uważnie ją odczytywać. Przejrzawszy całą do końca, sięgnął po drugi numer.

Nagle odsunął gazetę, jakby ją chciał lepiej widzieć swym dalekim, zestarzałym wzrokiem, a głowę w tył odchylił. Trwał tak chwilę sztywny, wyprężony, poczem zwrócił się do siedzącego obok kupca kieleckiego.

— Nie wiecie, panie kolego, o której pociąg do Wilna odchodzi?

— Przez Warszawę... Wieczorem.

Litwin już powstawał, ale, usłyszawszy odpowiedź, znów usiadł.

— Wieczorem... ot, szkoda.

— Czemu?
— Jadę, dziś jadę!
— Co się stało?
— Szukają mnie, wzywają. Ogłoszenie znalazłem. Chcą dać wiadomości w mojej własnej sprawie. A ja wnuka szukam. Może jego znaleziono?

Roztarł twarz charakterystycznym ruchem dłoni, a, nie mogąc dłużej usiedzieć na miejscu, zawołał płatniczego, uregulował rachunek i, skłoniwszy się towarzyszom, posuwistym krokiem opuścił kawiarnię.

20. POLOWANIE.

Już w przeddzień zapowiedzianych łowów rozpoczęły się przygotowania. Wieczorem przyjechała z Wilna pani dyrektorowa z całym wozem naczyń i prowiantu. Wiedziała, że dom nadleśnego został ograbiony przez bolszewików, tak, iż brakło w nim wielu najniezbędniejszych rzeczy. Poznawszy miłą, uprzejmą damę, Magdusia zapomniała o jej nieuprzejmym Zdzisiu i z przyjemnością dopomagała paniom w kuchni i kredensie.

Nazajutrz wstała bardzo wcześnie, ubrała się odświętnie i owinięta fartuchem, by nie zawalać nowej sukienki, pobiegła szukać pani nadleśnej. Znalazła ją w lodowni i spytała, co ma robić.

— Weź masło, zanieś do kuchni. Tam robią przekąski, może zabraknąć.

Pobiegła. Robienie przekąsek należy do bardzo przyjemnych zajęć. Krajanie i układanie sera, kiełbasy, otwieranie puszek z rozmaitemi rybkami, smarowanie kromek chleba, mieszanie winegretek, obieranie jaj — praca, jak zabawa.

W jadalni rozsunięto długi stół. Błyszczały już nakrycia.

— Idź, dziecko, do ogrodu — rzekła dyrektorowa — nazbieraj kwiatów, trzeba napełnić wazony.

Magdusia ustawiała już ostatni wazon, gdy usłyszała buczenie automobilów.

—. Jadą!

Pan nadleśny i ojciec pośpieszyli na ganek. Niebawem sień napełniła się gośćmi. Stuk kroków, dzwonienie ostróg, pomieszane rozmowy — oczekiwanie.

I oto weszło do pokoju kilku młodych oficerów, a na ich czele starszy. Miał szary mundur żołnierski bez żadnych oznak. Twarz spalona, drobnemi zmarszczkami pokryta i okolona zarostem, trochę przypominała portrety Stefana Czarnieckiego.

Z wojskowymi wrócili do jadalni: pan nadleśny i ojciec, z nimi zaś ukazał się i pan dyrektor, wreszcie Zdziś i nieznany chłopczyk, który już na pierwszy rzut oka stanowił przeciwieństwo Zdzisia. Ubrany skromnie, trzymał się na uboczu, jakby nie chciał zwracać niczyjej uwagi.

— Pan generał pozwoli sobie przedstawić... — odezwał się nadleśny.

Nastąpiło prezentowanie dam, a wreszcie Magdusi.

— Moja córeczka — dodał ojciec.

— A oto mój syn — generał wskazał skromnego chłopczyka.

Dziewczynka była zachwycona. Przedstawiono ją, jak dorosłą panią. Ale zachwyt ten zamienił się w silne wzruszenie, gdy ojciec objaśnił jej, że pan, któremu została przedstawiona, to — generał Żeligowski.

Miała już dziesięć lat i dobrze wiedziała, kto to taki. Długo więc nie mogła oderwać oczu od szarej postaci wojskowego, a niezmiernie łagodny wyraz jego oczu umacniał w sercu szczerą dla generała sympatję.

Zajęto miejsca przy stole. Dziewczynka z nadmiaru wrażenia ani mówić, ani jeść prawie nic nie mogła i wcale nie spostrzegła, kiedy znów zaszurały krzesła, zadzwoniły ostrogi i po ceremonjalnych podziękowaniach goście odjechali samochodami. Niebawem pogonili za nimi bryczką pan nadleśny z ojcem.

Ale teraz właśnie zaczęła się gorączkowa bieganina. Pozostałe w domu panie miały przygotować i osobiście zawieźć myśliwym obiad. Robota szła szybko, dzięki przywiezionym przez dyrektorową produktom i wkrótce wezwano chłopaków Pawła, by ładowali wó-

zek; poczem przed dom zajechał wolant i zabrał damską część tawarzystwa.

Nad jeziorem Popiskiem, długiem, a niezbyt szerokiem — w miejscu, gdzie niski, bagnisty brzeg graniczy z dość wysoką i suchą polaną, stały już wózki i wierzchowce zwołanych z różnych stron gajowych. Kilku małych chłopców pilnowało koni, podczas gdy ojcowie poszli wypłaszać kaczki z trzcin nadbrzeżnych. Od drogi do brzegu przerzucono mostek z kilku desek, a u jego końca ustawiono dużą altanę z pni i gałęzi brzozowych. Zzewnątz, przystrojona jedliną, mieściła w środku długi stół i dwie ławy.

Panie z Magdusią wnet zabrały się do nakrywania. A gdy Kaziuk z Bolukiem przywieźli potrzebne naczynia i produkty, raźnie poszły przygotowania do biesiady. Więc nastawiono samowar, rozpalono dwa ogniska i umieszczono nad niemi kociołki do odgrzewania bigosu i gotowania ziemniaków.

Najtrudniej było z otrzymaniem wody. Nie przywieziono jej ze sobą, należało więc czerpać z jeziora— oczywiście nie z samego brzegu, bo tu czystość wody pozostawiała wiele do życzenia. Wprawdzie kołysała się przywiązana do drzewa „duszehubka", ale nie każdy miał odwagę pojechać na niej z wiadrami. „Duszehubka" jest to mała łódeczka, zrobiona z pnia o wydłubanem lub wypalonem wgłębieniu. Tylko ludzie wychowani nad wodą (a i to nie wszędzie i nie wszyscy) umieją posługiwać się tak wywrotnemi statkami. Na szczęście, znalazł się gajowy z miejscowego rewiru, który zadanie wziął na siebie.

Samowar już się gotował, z kociołków dymiło. Stół nakryty — biesiadników brak tylko.

Zaczęło się tedy wypatrywanie myśliwych. Choć słychać było od czasu do czasu pojedyńcze strzały; choć tu i owdzie spostrzegano wylatujące z sitowia kaczki — daremnie szukano oczami łódek. Znudziło to w końcu Magdusię, więc pobiegła do siedzącego na wózku Boluka. Dotąd nie mówiła mu nic o obawach, jakie miała, wracając z wesela.

— Powiedz, czy ty się naprawdę nie boisz Jadwisieńki-Oleńki?

— Liszby uroku nie rzuciła, tak co mnie jej bać się.

— A widziałeś ją na weselu?

— Toż ona na weselu nie była.

— Z za płotu patrzała.

Chłopak wzruszył ramionami.

— Widziałam ją. Widziałam wyraźnie.

— A ja tak i grał do samego rana. Musi ta msza jeszcze skutkuje. Ksiądz, znaczy, dobrze odsłużył.

— I nie spotkałeś baby, jakeś do domu wracał?

— Nie. Smolarza ja tylko był spotkawszy. To jej czarci kum. Ale ja jechał w kompanji.

Chłopak najwidoczniej nie przywiązywał do tego żadnej wagi. Oczami wodził po jeziorze.

— Jadą — rzekł spokojnie po chwili i nie śpiesząc się zeskoczył z wozu.

Zbliżyli się do brzegu, a Boluk pokazał Magdusi łódki myśliwych. Wyglądały zdaleka, jak czarne kreseczki na gładkiem, zielonawem tle wody. Co pewien czas dym się nad niemi unosił, a po krótkiej chwili dolatywał daleki huk.

W altanie zapanował ruch.

— Dorzucić węgli do samowara! — krzyknęła dyrektorowa.

Kształty łódek poczęły coraz wyraźniej się zarysowywać. Już słychać było i hałas posuwającej się z drugiej strony jeziora naganki. Co kilka minut ponad trzciny nadbrzeżne wylatywały gromadki kaczek, inne wypływały na środek jeziora i sunęły po niem z widocznym pośpiechem. Magdusi żal się zrobiło biednych stworzeń, ale uczucie to trwało niezbyt długo. Odżyło jeszcze raz na chwilę, gdy z nadbrzeżnych zarośli niespodzianie wysunęli się myśliwi, a wkrótce potem gajowi zaczęli układać zabite kaczki.

Altanę napełnili biesiadnicy. Mieli, oczywiście, wilcze apetyty. Szybko więc znikały z półmisków zakąski, niemniejsze powodzenie miał bigos i inne myśliwskie specjały.

Rozmawiano przytem coraz weselej, wreszcie jeden z panów deklamował różne zabawne wierszyki i kończono obiad śród wybuchów śmiechu.

Zbliżał się wieczór. Lasy ciemniały stopniowo, tu i owdzie zaczynały kłębić się opary.

Zajechały samochody. Polowanie było skończone.

Wracając do domu, Magdusia miała wielką ochotę wsiąść na wózek, którym przybyła tu kuchnia. Ojciec jednak nie zgodził się na to. Siadła więc na bryczkę naprzeciwko ojca. Wózek posuwał się za nimi, powożony tylko przez Boluka, gdyż Kaziuk odjechał wcześniej z gajowym Piotrem; Paweł kazał mu pośpieszyć się, by sieczkę przed nocą nakroił.

Bryczka sunęła prędko. Wózek wolniej. Odstawał więc coraz dalej, coraz dalej, aż wreszcie znikł na którymś zakręcie.

Wtem uwagę dziewczynki zwrócił ogromny mężczyzna, o śniadej cerze i czarnym zaroście. Szedł obok wozu, naładowanego workami z węglem drzewnym. Ukłonił się panu nadleśnemu, ale jednocześnie spojrzał nań hardo, prawie wyzywająco.

— To wszystko z kradzionego drzewa — mruknął nadleśny.

— Wiadomie — odpowiedział, nie odwracając się, Paweł.

21. PORWANIE.

a wysoko naładowanym wozie drzemał Boluk, zmęczony całodzienną bieganiną. Cugle spływały mu z dłoni, prawie dotykając ziemi, a nie poganiany koń stąpał coraz wolniej i coraz niżej łeb opuszczał.

Chłopcu głowa kiwała się na wszystkie strony, a jednocześnie snuł się po niej dziwny, niewytłumaczony sen.

Boluk znajdował się w mieście nieznanem, gdzie była szeroka ulica, mająca po jednej stronie wysokie, piękne kamienice, a po drugiej plant kolejowy. Z jednej strony błyszczały ogromne szyby sklepów; za szybami temi widać było śliczne zabawki. Naprzeciwko zaś manewrowały pociągi, a gwiżdżące lokomotywy puszczały z kominów kłęby czarnego dymu. Chłopca prowadziła za rękę wysoka, szczupła pani — prawdziwa pani, w kapeluszu — a on mówił do niej: mamo. Skręcili w bok, odwróciwszy się plecami, do plantu; potem jeszcze raz w bok; szli między wysokiemi a wąskiemi wieżami z czerwonej cegły, nad któremi— podobnie jak nad kominami lokomotyw — kłębił się dym. Z jakiejś bramy wyszedł pan, pocałował panią, a potem uniósł Boluka wysoko i tak drapał wąsami, że chłopiec przymknął oczy i obracał twarz na wszystkie strony.

— Nu, a! kab ciabie!.. — zawołał, ocknąwszy się nagle, gdy koń przystanął.

Przypomniał sobie, że sen, który miał dopiero co, śnił mu się już kilka razy. Kiedyś nawet pytał matki, co to może znaczyć. Powiedziała, że nie wie, ale uśmiechnęła się tak, jakby coś wiedziała. „Musi, wie — pomyślał — toż ona i ojcu każdy sen tłumaczy“...

Wóz skrzypiał jednostajnie. Głowa chłopca zaczęła znów opadać na piersi. Uniósł ją kilka razy, raptownie przemagając senność. Gdyby był nieco bliżej domu, nie walczyłby ze znużeniem. Nieraz przecież drzemał na furmance, a poczciwa szkapa sama wybierała drogę. Ale w tych stronach bywała bardzo rzadko — mogła zbłądzić, przytem szła dziś jakoś leniwie — bat wciąż był potrzebny.

Niebawem jednak zwisł on w ręku Boluka, a głowa chłopca zaczęła znów opadać to na jedno, to na drugie ramię. Ujrzał tłum biegnących ludzi, a potem niespodzianie ta prawdziwa pani w kapeluszu, którą nazywał mamą, przemieniła się w Jadwisieńkę-Oleńkę. Baba niosła go na rękach i zasłaniała chustką, przez którą nic nie widział. Czuł tylko, że stara pędzi z nim, pędzi coraz szybciej, aż nagle uderzyła się o coś, padła i on upadł razem z nią na ziemię.

Otworzył oczy.

Co to? Co się stało? W pierwszej chwili nie mógł zorjentować się, dlaczego zamiast baby leżą obok niego kosze.

Zerwał się na równe nogi. Wóz był przewrócony. Tuż obok stał drugi wóz.

— Czemu ty nie zjechał z drogi? — odezwał się gruby męski głos. W tejże chwili z za stojącego wozu wysunęła się ogromna czarna postać.

— Smolarz! — mignęło w głowie Boluka. Coś w nim zadygotało, ale nie chcąc okazać lęku, odsunął czapkę na tył głowy i rzekł rezolutnie:

— Nie zjechał ja, tak mogli wy zjechać.

— Ot, patrzajcie, kiedy ważny.

— Ważny, nie ważny, a do drogi takie moje prawo, jak i wasze.

— Już ty mnie prawa mojego nie ucz. U mnie teraz prawo śrubę z twojego koła zabrać.

— Czemu to tak?

— A ot, kiedy ty zawadził, śruba u mnie odskoczywszy.

— Popatrzcie, musi, leży gdzie.

— Ciemno szukać.

— Jakże ja bez śruby pojadę?

— Nie moja rzecz.

— Także samo wy zawadzili, jak i ja.

— Ja wołał, coby ty zjechał z drogi.

Tu smolarz zbliżył się do przewróconego wozu i jął majstrować w piaście przedniego koła. Na ten widok, porwał się Boluk.

— Nie ruszać! — krzyknął — nie dam śruby!

Wtem poczuł, że mu jakaś czarna płachta spadła na głowę. W oczach zrobiło się ciemno, w uszach — głucho.

Mimo to usłyszał chrapliwy, znany sobie głos kobiecy:

— Nu, popadł ty nakoniec w moje ręce.

Jadwisieńka-Oleńka, która wybiegła niepostrzeżenie z zarośli i zaszła chłopca od tyłu, szybko okręciła mu głowę szmatą, a cygan jednem uderzeniem pięści zwalił Boluka na ziemię; poczem związał mu ręce postronkiem i rzucił na wóz między twarde worki węgla.

Jakiś czas chłopak ciskał się i szamotał, ale niebawem osłabł, bo coraz trudniej było dech łapać.

— Nie dam rady — pomyślał. — Co Bóg da, to będzie.

Zaczął się modlić. Kilka razy powtórzył cały pacierz od początku do końca i to go trochę uspokoiło.

— Przecież z czarownicą i cyganem Bóg trzymać nie może — pocieszał się w duchu — a ja niedawno do spowiedzi chodził, odpuszczenie grzechów dostał i nowych nie pośpieł jeszcze narobić.

Byłby już leżał bez troski, gdyby nie brak powietrza.

— Ej, Jadwisieńka! — zawołał stłumionym głosem.

— A co? — odpowiedziała baba.

— Duszę się.

— Mała bieda — zaburczał głos męski.

— Koli pomrę, jaki ze mnie dla was pożytek?

— Nie pomrzesz. Nic tobie nie będzie.

Po chwili jednak Boluk poczuł, że czyjeś ręce rozkręcają płachtę. Zrobiło się luźniej, a nawet powstała niewielka szpara, przez którą ujrzał jednem okiem gałęzie drzew i niebo, błyszczące gwiazdami.

Wóz drgnął, podskoczył i zaskrzypiały koła.

Chłopak, podrzucany z boku na bok, co chwila uderzał się o kościste wory. W wielu miejscach ciało zaczęło go boleć; czuł powstające na niem siniaki. Zaciął jednak zęby i milczał, a myślał tylko o jednem: jak uciec? jak się wyrwać?

Położenie było rozpaczliwe. Probował sznurki na rękach rozerwać — ani marzenia! Na nogi tymczasem zwaliły się worki i nietylko obezwładniały je, ale i gniotły nieznośnie. Chłopiec był przecież tak znużony, że mimo wszystkie dolegliwości i strapienia — zasnął.

Gdy znów oczy otworzył, wózek stał na jakiemś nieznanem podwórku. Na lewo majaczył czarny kontur chaty, błyszczały dwa okienka izby, oświetlonej migotliwie błoną (łuczywem), a z izby tej dolatywały rubaszne odgłosy pijatyki.

Boluk sprobował unieść się nieco, gdy nagle usłyszał tuż przy wozie groźne warczenie psa.

— Paszoł won! — mruknął i jeszcze raz uczynił wysiłek, by usiąść.

Pies oparł się przedniemi łapami o wózek i przez szczeble drabiny ukazał pysk, najeżony białemi zębiskami.

Bolukowi nagle strzeliła myśl do głowy. Obie związane dłonie przysunął tuż do pyska zwierzęcia. Brytan rozdziawił paszczę i sięgnął, by ugryźć. Ale chłopiec szybko cofnął ręce — tak, że pies zdążył tylko chwycić sznur, któremi były skrępowane. Zaczęła się wściekła szarpanina. Boluk ciągnął w swoją stronę, pies w swoją. Sznur wpijał się mocno w ciało, ale jednocześnie więzy rozluźniały się stopniowo i niebawem chłopiec jednym silnym ruchem uwolnił prawą rękę. Uwolnienie i drugiej było już dziełem sekundy.

Chwilkę odpoczął, a następnie, prawie nie ruszając się, rozsupłał część postronka i z końca jego uczynił pętlę. Jeszcze przez moment leżał niemal bez ruchu, aż raptem z niesłychaną wprawą zarzucił pętlę psu na szyję. Zwierzę podskoczyło rozwścieczone, ale Boluk był już panem położenia: zacisnął pętlę, a drugi koniec sznura przywiązał do szczebla drabinki. Uczyniwszy to, kopnął z całej siły wór, co mu nogi przywalił, zdarł sobie z głowy szmatę i wyskoczył z wozu. Pies chciał pogonić za nim, ale raptem zaskowytał, zacharczał i uniósł się na tylnych łapach.

Nie było chwili do stracenia. Brytan — choć widocznie milczek — mógł zacząć wyć.

Chłopiec puścił się pędem ku drodze, przesadził płot i wpadł w las.

22. BOLUK NIE WRACA.

aweł otworzył oczy, ziewnął, przeciągnął się i powstał z tapczana. Cała jego toaleta polegała na podciągnięciu spodni i spięciu paska; rozbierał się bowiem tylko raz na tydzień, w sobotę, gdy prażył się w „bani".

Otworzył drzwi, wyszedł na ganek i — zdumiał. Przed parkanem zagrody stał koń jego z wozem. Zwierzę nisko opuściło łeb i drzemało, prostując co chwila uginające się ze zmęczenia kolana.

Paweł wpadł do odryny.

— Boluk!.. — krzyknął — Boluk!

Odpowiedziało mu z góry chrapanie.

— Boluk!.. — zawołał raz jeszcze.

— A co?—odezwał się opryskliwy głos Helki—co krzyczy?

— Boluk!

— Tu niemasz Boluka.

— Tak gdzie on?

— Musi, zeszedłszy.

— A Kaziuk?

— Kaziuk śpi.

— Budź Kaziuka! Budzić wszystkich! — wrzasnął stary. Jego zaniepokojenie zawsze zmieniało się w gniew, a gniew rychło przechodził w pasję.

Zajrzał do stajni, do chlewa i pośpieszył do chaty.

— Ej, stara! wstawać!

— A co?

— Boluka niemasz. Koń sam wróciwszy, stoi nieodłożony.

— Matko najświętsza!

Kobieta zerwała się z posłania. W chacie zawrzało.

— Proś, Kaziuk, konia u leśniczego, nasz zdrożony. Jedź na drogę do jeziora. — To powiedziawszy, dał synowi kułakiem w kark, by go do pośpiechu zachęcić. Ale przynaglanie było zbyteczne. Kaziuk z Bolukiem szczerze się kochali. Chłopak więc, niemniej od ojca strapiony, prędko postarał się o konia i wnet puścił się galopem.

Wiadomość o nieszczęściu Pawła wmig rozeszła się po Wieczoryszkach. Kobiety wyszły na drogę i zbiwszy się dokoła Pawłowej, dawały wielomówny upust swemu spółczuciu. Wikta pobekiwała, Jóźka biegała z kąta w kąt, niczem wystraszone dzikie zwierzątko, sam Paweł snuł się, jak bez głowy.

Najspokojniejszy ze wszystkich, gajowy Piotr udał się do kancelarji i zawiadomił o wypadku nadleśnego. Ten rozkazał zwołać jaknajprędzej gajowych, a póki co — dać znać najbliższemu posterunkowi policji.

Gdy Magdusia usłyszała o wypadku, siadła na łóżku i — jakby nie rozumiała, co się stało — przez chwilę mrugała oczami; nagle zerwała się i, narzuciwszy sukienkę, pobiegła do Pawłowej; ta stała wciąż jeszcze przed chatą, otoczona kobietami i dziewczętami. Biedaczka lamentowała głośno, a sąsiadki czyniły przypuszczenia, co się mogło stać z chłopakiem.

— Nic innego — mówiła Piotrowa — tylko usnąwszy po drodze, z wozu spadłszy, śpi gdzieś koło drogi.

— Jeżeli tak, to jużby się obudził — zauważyła sekretarzowa, drobna, sucha kobieta, o twarzy z natury wiecznie zmartwionej.

— Jaż nie mówię, że się nie obudził! — odpowiedziała pierwsza. — Ale musi daleko gdzie, tak jeszcze nie pośpieł dobrać się do chaty.

Widać było, że Piotrowa chce koniecznie wlać nieco otuchy w serce Pawłowej, dodać jej nadziei.

Magdusia czuła to i z wdzięcznością spoglądała na żonę gajowego, ale w głębi duszy wcale nie podzielała jej optymizmu. Pamiętała zbyt dobrze czającą się podczas wesela wiedźmę; pamiętała, co mówiono o jej przyjaźni ze smolarzem — z tym samym smolarzem, który, gdy minął wczoraj bryczkę nadleśnego, musiał przecież natknąć się na Boluka.

— Nic innego — pomyślała — tylko on mu coś zrobił.

Tymczasem — zwołani specjalnemi sygnałami — zaczęli schodzić się gajowi z okolicznych rewirów. Pan nadleśny wydawał im rozporządzenia, gdy stary Jusiel odważył się przerwać:

— Przepraszam pana, nie na drodze chłopaka szukać i nie koło drogi.

— A gdzie?

— Ot, po mojemu cygana by za język pociągnęliby.

— Tak, tak! — wyrwało się Magdusi, która stała w drzwiach sieni — to musiał zrobić smolarz.

Pan nadleśny zamyślił się.

— Proszę wykonać moje rozkazy — odezwał się po chwili do ogółu gajowych. — A co do smolarza, to Jusiel weźmie go na siebie.

— Rozkaz — odpowiedział stary, wyprężywszy się, jak żołnierz.

Gajowi pozarzucali karabiny i rozeszli się.

Magdusia dogoniła Jusiela.

— Mój Jusielu, mój kochany Jusielu — zaczęła go prosić — postarajcie się znaleźć Boluka!

— Nu, wiadomie. Żal chłopaka.

— Myśmy wczoraj spotkali cygana — szybko mówiła dziewczynka — wiózł pełną furkę węgla.

— Czyż tak?.. — gajowy przystanął na chwilę. — Znaczy on do Wilna pojechawszy. Napróżno my by dziś do smolarni patrzali.

Przyśpieszył kroku i wkrótce zniknął śród drzew. Magdusia wolno powróciła do domu. Zdziwiło ją, że Jóźka pędzi bydło — tak, jak codzień, jakby nic się nie stało; że Helka idzie z sierpem na pole; że Piotr piłuje drzewo na podwórzu, Stefcia ciągnie wodę żórawiem... Tam gdzieś, niewiadomo gdzie Boluka cygan trzyma, może bije go, może związanego uwozi... A oni tu wszyscy, po chwilowem zamieszaniu, wrócili już do zwykłych zajęć i każdy robi swoje, jak wczoraj, jak onegdaj, jak przed tygodniem, jakby się nic nie stało...

Serdecznie rozżalona wsunęła się do pokoju ojca. Ten również — siedział przy swym stole i pisał.

— Tatusiu! — zawołała — chyba nie wiesz, co się stało!

— Owszem, moje dziecko, wiem. Uspokój się. Wszystkie zarządzenia wydane. Gajowi mają przetrząść puszczę, a niezależnie od tego policja wzięła się do poszukiwań. Miejmy nadzieję, że chłopiec się znajdzie.

Minął jednak dzień, drugi, trzeci — na ślad Boluka nie trafiano.

Policja, poprowadzona przez Jusiela, była i w smolarni, zrewidowała wszystkie kąty. Smolarz, który właśnie tegoż dnia powrócił z Wilna, przyznał, że jadąc do miasta, spotkał na drodze wóz z Wieczoryszek, ale jego samego miało rzekomo zdziwić, że koń szedł sam, bez furmana.

Na trzeci dzień po zniknięciu Boluka przyszedł na imię ojca Magdusi telegram, datowany z Krakowa:

„Przeczytałem ogłoszenie. Jadę do Wilna. Wyślijcie list pod adresem Związku Weteranów — Witort".

Gdy ojciec przeczytał tę depeszę, siedział jakiś czas w milczeniu i gryzł wąsy.

— Głupia historja — mruknął nareszcie. — Co ja teraz temu biedakowi napiszę?

Długo medytował, aż postanowił nakoniec nie pisać na razie prawdy, ale zakomunikować tylko, że wpadł na trop, który, niestety, okazał się fałszywy... W każdym razie prosi o niektóre dodatkowe dane.

Słowem — było to wykręcanie się sianem, tem jednak usprawiedliwione, że przedstawienie obecnego stanu rzeczy mogłoby starca doprowadzić do rozpaczy.

I płynęło dalej życie w Wieczoryszkach, jak przedtem. Starsi pracowali, dzieci pracę przeplatały zabawami. Nawet Pawłowa, choć nos ucierała fartuchem daleko częściej niż zwykle, krzątała się koło gospodarstwa; Kaziuk pławił konie, polował na pstrągi i brał od ojca szturchańce.

Magdusia jedna tylko była ciągle pod wrażeniem katastrofy. Chodziła, jak błędna, i pytania: „co się dzieje z Bolukiem?", „co on teraz robi?" — nie dawały jej spokoju.

23. NA „FEST".

ównie, jak Magdusia, przerażona wypadkiem była Wikta. Od dnia zniknięcia brata chodziła wciąż, jak nieprzytomna i szeroko otwartemi, wystraszonemi oczami, które jej często zachodziły łzami, niespokojnie rozglądała się na wszystkie strony. Często wybiegała na mostek, wiodący do lasu i stała tam długo, długo, jakby oczekiwała kogoś, wypatrywała.

— Boluka czekasz? — spytała ją Magdusia, którą nadzieja ujrzenia wracającego chłopca pędziła również na mostek po kilka razy dziennie.

— Boluka — odrzekła Wikta.

Milczały chwilę, wlepiając oczy w las. Ale śród niebotycznych sosen poruszały się tylko krzaki i pojedyńcze zielone badyle.

— Pójdziem do księdza — odezwała się nagle Wikta.

Magdusię uderzyła ta myśl.

— Do księdza... — powtórzyła.

— Jutro „fest" w parafji. Narodu zjedzie dużo. Damy na intencja szczęśliwego powrotu Boluka i poprosim, żeby ksiądz z ambony szukać jego przykazał.

Wikta miała 200 marek od pani nadleśnej za uzbierane jagody; Magdusia — 300 jeszcze z warszawskich oszczędności. Starczy.

—Ale ty powiesz księdzu — szepnęła po chwili Wikta — ja boim się.

Nie zdziwiło to Magdusi. Księdza bali się wszyscy. Dziewczynka widziała go kilka razy zarówno w kościele, jak i w domu nadleśnictwa, ale znała proboszcza przedewszystkiem ze słyszenia. Był on bowiem osobistością, o której tysiączne opowiadano historje, postacią prawie legendarną za życia.

Ex-oficer, junak, hulaka — opamiętał się raptownie w dwudziestym którymś roku życia, a nie znając dróg pośrednich, zrzucił mundur, wstąpił do seminarjum i szablę zamienił na kropidło. Odtąd poświęcił się wyłącznie służbie Bożej. Pozostały mu jednak ruchy i postawa żołnierska, gorący temperament i odwaga szalona. Była ona tematem niezliczonych anegdot, których liczba wzrosła szczególniej po najeździe bolszewickim i parotygodniowej gospodarce litewskiej. W owym czasie ksiądz nietylko przed inwazją nie ustąpił, ale dzielnie bronił zarówno majątku kościelnego, jak i pozostawionego pod jego opieką dobytku ewakuowanych urzędników polskich.

Razu jednego zjawili się na plebanji bolszewicy.

— Czem mogę służyć? — huknął ksiądz, śmiało patrząc w oczy prowodyrowi nieproszonych gości.

— Przyszli rewizję robić — brzmiała odpowiedź.

— Rewizję?.. dobrze.

Wyprostował się.

— Za mną! — zakomenderował.

Bolszewicy pogłupieli.

— My sami... — zaczął komisarz.

— Nie sami! — zagrzmiał ksiądz, wciąż głosem niedopuszczającym sprzeciwu. — Za mną! Pokój po pokoju! Wszyscy! Żeby mi ani jeden nie szwendał się samopas.

To rzekłszy pchnął drzwi własnej sypialni i wpuścił całą bandę. Obejrzeli tu wszystko, poprzewracali rzeczy, ale stropieni nieoczekiwanem przyjęciem, poruszali się bez zwykłej brutalności i pewności siebie. W ten sposób oprowadził pleban „komisję“ po całem mieszkaniu, bacznie obserwując każdego z jej członków, i wywiódł ją znów do przedpokoju.

— Znaleźli co? — zapytał.

— Nie, nic, wszystko w porządku — odrzekł komisarz. I już sięgał do klamki, gdy ksiądz zastąpił mu drogę.

— Zegarek oddać! — I wskazał palcem jednego z bolszewików. Ani jednego nie wypuszczę! To, to tak postępuje komisja?

Zegarek istotnie znalazł się, a zbity całkiem z pantałyku prowodyr chciał przepraszać, „omyłkę" wyjaśniać. Lecz ksiądz szeroko drzwi otworzył i —

— Żegnam! — krzyknął mu nad uchem.

Zmudzin ze związków rodzinnych, prawie rosjanin z wychowania (kaleczący mowę polską domieszkami rosyjskiemi), ksiądz czuł się jednak Polakiem i całą duszą Polsce oddany, nie rozumiał, jak można chcieć Wileńszczyznę od niej oderwać.

Gdy kraj Litwini zajęli, odwiedził plebana oficerek armji „tarybowej", bliski jego kuzyn. Ano, „gość w dom— Bóg w dom"... Proboszcz zaprosił młodzieńca na obiad, uczęstował godnie. Lecz oto, podczas biesiady oficer jął coś na Polskę i Polaków wygadywać.

Jak się nie porwie nagle uprzejmy gospodarz, jak nie chwyci młodzieniaszka za kołnierz, jak nim nie smyrgnie na dwór!.. Tylko chlupnęło — ileże po wczorajszym deszczu kałuże dokoła plebanji zostały. Ksiądz wrócił do stołu i najspokojniej kończył obiad.

Wtem wchodzi ordynans oficera.

— Gdzie porucznik? — pyta.

— A szukaj go tam za drzwiami — odpowie pleban — tylko zabierz ścierkę, bo pewno się zabłocił.

Gdy życzliwi zwracali uwagę, że takiem postępowaniem ksiądz naraża się, a może nawet ryzykuje życie, odpowiadał krótko:

— Wiem, ale inaczej nie potrafię.

Mimo gwałtowności, serce miał złote, a bezinteresowność abnegata. Chodził zawsze w jednej i tej samej wyświechtanej sutannie, ale niech jaki prawdziwie ubogi parafjanin zwróci się o pomoc, zawsze u księdza

ją znajdzie. Surowy dla siebie, surowy dla innych, bezwzględnie sprawiedliwy, cieszył się szacunkiem powszechnym, choć lęk ogólny budził, gdy w kazaniach słów nie dobierał, lecz gromił swe owieczki, znając na wylot każdego parafjanina.

Do owego to proboszcza wybrały się w dniu „festu" dziewczynki.

Już na gościńcu ujrzały długie sznury śpieszących do kościoła wiernych. Jedni jechali na wózkach, inni śpieszyli piechotą, a wszyscy odświętnie odziani: kawalerowie w marynarkach, po miejsku, panienki w jasnych sukniach, w kapeluszach słomkowych i przeważnie boso. Pończoszki i pantofelki niosły dla oszczędzenia ich w ręku. Starodawnych siermięg prawie się nie widziało.

Dziewczynki wyszły z lasu. Śród zżętych już przeważnie pól, pozostały tylko biało-różowe łany gryki, smugami bławatków przetykane, to znów mijało się wysokie, osypane kwiatem krzaki kartofli. Gdzieniegdzie lśnił len zielony z kołyszącemi się u góry kułkami, lub przebierał pojedyńczemi ziarnami żółknący dopiero owies.

Na placyku przed parkanem kościołka roiło się od ludzi. Tu siedzi nad rowem rząd elegantek, naciągających trzewiki; ówdzie młodzież wiejska obległa wóz pełen jabłek, a siedzący na furze gospodarz odmierza je blaszanką. Przed samym parkanem — szereg straganów z cukierkami, koralikami, błyszczącą biżuterją, a dopiero u samej furty, pod olbrzymiemi parasolami — stoły pełne dewocjonalji: książek, obrazków, krzyżyków, szkaplerzy.

Przedostawszy się z trudem przez tłum, dziewczynki boczną furtką weszły za ogrodzenie i zwolniwszy nieco kroku, onieśmielone zbliżyły się do małych drzwiczek zakrystji. W tejże chwili ksiądz wyszedł z plebanji i łopocąc długą sutanną, krokiem żołnierskim zbliżył się do kościoła. Poznawszy Magdusię, która mu już zdaleka dygnęła, uśmiechnął się do niej. Czemprędzej przybiegła Wikta do całowania ręki.

— Do mnie! Czego chcecie?

Wyłożyły swą prośbę. Ksiądz słyszał już o zniknięciu Boluka i sam zamierzał wypadek ten podać z ambony do publicznej wiadomości.

— Mybyśmy jeszcze prosiły... na intencję... — jąkała Magdusia, miętosząc w ręku papierki.

— Dajcie 50 marek na biednych. Dość będzie.

Pokrzepione na duchu, poszły do kościoła. Było tu biało od kosynek niewieścich. W ciemnej niszy wielkiego ołtarza jarzyły się świece. Dziewczynki stanęły w kąciku i czekały. Wkrótce ukazał się w białej komży ksiądz z małym ministrantem. Zadzwoniły srebrne dzwoneczki, zagrały organy, lud padł na kolana — zaczęło się nabożeństwo.

24. W WILNIE.

ilno, jak wiadomo, leży w głębokiej kotlinie, otoczonej pagórkami.

Wędrowiec, zbliżając się do miasta, spostrzega je niespodzianie — dopiero na widok wyrastających, jak z pod ziemi, kamienic.

Boluk, zmiarkowawszy, że zabłądził w puszczy, po długiem kołowaniu—zorjentował się nakoniec, że przez noc zbliżył się nie do Olkienik, ale do Wilna. Nie wiedział tylko, ile mu pozostało drogi. Zwykłym szlakiem, którym nieraz jeździł, a nawet chodził piechotą, cała przestrzeń wynosi około 28 wiorst i przebyć się daje w 4 do 6 godzin. Teraz jednak szedł jakiemiś nieznanemi wertepami i raczej domyślał się tylko, że znajduje się w pobliżu traktu Raduńskiego.

Wychynąwszy z lasu, wdrapał się na stromą wyniosłość, zwabiony sterczącym na jej szczycie budynkiem. Okazał się on jednak niezamieszkałą, zniszczoną ruderą, zupełnie pozbawicną jednego boku. W dużej izbie o niebieskich ścianach widać było rozwalony komin i drzwi, sterczące pochyło na dolnej zawiasie.

Chłopak rozejrzał się i serce zabiło mu z radości. Bez namysłu puścił się w dół miedzą, przerzynającą pole kartofli i znalazł się u wylotu ulicy Raduńskiej. Odetchnął.

Wie nareszcie, gdzie jest, zna drogę do domu, a choć pieniędzy starczy mu ledwie na trochę chleba i sera — ot, wielki frasunek. Bo to raz kiszki marsza grały?

Szedł zpoczątku bez wyraźnego celu. Czuł przedewszystkiem głód.

Z przyzwyczajenia ruszył w stronę Ostrej Bramy. Od dworca pędził długi sznur dorożek, naładowanych bagażem. Konie, potrząsając „duhami", ciągnęły bez wysiłku po wyboistym bruku, w dół opuszczającej się ulicy. Gumowe koła terkotały głucho, a obszarpani „zwoszczycy" (którzy, po zrzuceniu stroju rosyjskich „jamszczyków", żadnej nie przyjęli „formy") hamowali lejcami temperament rumaków, „umykaj!" krzycząc na przechodniów. Dopiero wjeżdżając w dawną bramę miejską, ponad którą od wieków jaśnieje kaplica z cudownym obrazem, szkapy dawały się pohamować i po drewnianym bruku wąskiego kurytarza ulicy Ostrobramskiej szły noga za nogą.

Skrzypienie kół zlekka mąciło panującą tu ciszę. Przechodnie szli w milczeniu z obnażonemi głowami, a pod wysokim, szarym murem kościoła św. Teresy klęczały gromadki pobożnych.

Boluk obejrzał sie w górę. Obraz był odsłonięty. Uznał w tem dobry znak dla siebie. Odwrócił się i ukląkł. Zmówiwszy pacierz, spojrzał w bok. W pobliżu bił się w piersi mężczyzna z długiemi siwemi wąsami; na ziemi leżał przy nim granatowy kaszkiet ze srebrnym orzełkiem i białemi wypustkami. Starzec podnosił często oczy w stronę obrazu, a chwilami zdawało się, że tłumione łkanie wstrząsa mu ramiona. Wtedy dłonią rozcierał sobie twarz, znów bił się w piersi i pochyliwszy głowę, tonął w modlitwie.

Boluk nie widział nigdy w życiu płaczącego mężczyzny. Weteran tak go więc zaciekawił, że stanął i miętosząc czapkę nie spuszczał go z oka.

Sznur dorożek zaczynał się już rwać. Wyczerpywała się, widocznie, liczba przybyłych ostatnim pociągiem podróżnych.

Wtem jeden z pojazdów zatrzymał się na chwilę. Wysiedli zeń dwaj staruszkowie z weterańskiemi czapkami w rękach. Powóz zwolna odjechał, skręcił i przystanął na rogu, a tymczasem dwaj weterani uklękli, by się pomodlić. Gdy wstali po paru minutach, jeden

z nich — krępy, barczysty mężczyzna, o rumianej twarzy przy białym jak śnieg włosie — trącił w łokieć łysego kolegę w ciemnych okularach i wskazując klęczącego starca, szepnął:

— Czyż to nie ten Litwin, któregośmy w Krakowie spotkali?

— Ten sam, zdaje się. Ale nie przeszkadzajmy mu. Modli się.

— To poczekajmy trochę, aż skończy.

Nie czekali zbyt długo. Starzec przeżegnał się, westchął głęboko, twarz jeszcze raz roztarł i podniósłszy czapkę, chciał powstać z klęczek. Ale nogi widocznie mu zdrętwiały i byłby upadł, gdyby Boluk nie podbiegł i nie podał mu ręki.

— Bóg zapłać, chłopcze — rzekł weteran i drżącą dłonią pogłaskał go po głowie.

W tejże chwili podeszli czekający panowie.

— Wszak nie mylimy się — rzekł niższy — pan Witort?

— Tak jest, poznaję panów. Widzieliśmy się 6 sierpnia.

Uścisnęli sobie dłonie, poczem wszyscy trzej zbliżyli się do czekającego powozu i pojechali w stronę śródmieścia.

— Przybyliśmy — mówił rumiany weteran (kupiec z Kielc, jak się czytelnik domyśla) — by wziąć udział w zapowiedzianej na jutro uroczystości.

— Związek nasz — odpowiedział pan Witort — będzie bardzo rad kolegom. Nie spodziewaliśmy się ujrzeć tu kogoś i z poza Wilna.

— Jakże! Skoro tylko przeczytaliśmy w gazetach, że ma być w puszczy wzniesiony krzyż na grobie nieznanego powstańca, zaraz postanowiliśmy jechać.

Ale co to za miejscowość te Stare Macele.

— At, zaścianek w Puszczy Rudnickiej. Znam, znam te strony.

— Patrzcie państwo! tak blisko miasta puszcza — zdziwił się łysy weteran w okularach.

— Był niedawno w tamtych stronach generał Żeligowski na polowaniu—informował dalej pan Witort—

i przyrzekł swe uczestnictwo. Nie dość tego, obiecał uprosić biskupa Bandurskiego, by sam odprawił nabożeństwo i krzyż poświęcił.

— Oho! — widać, że szykuje się wspaniały obchód.

— I słusznie. Gdy moskale stawiali w tychże stronach granitowy pomnik zabitemu przez naszych oficerowi, urządzili wielką paradę wojskową, a rozmaitych dygnitarzy aż z Petersburga ściągnęli. Czyż naszemu bezimiennemu bohaterowi mniej się należy? Wszak dotąd tylko lud okoliczny o grobie jego pamiętał.

— A co słychać z pańską sprawą? — zmieniając temat rozmowy, zagadnął weteran w okularach kolegę Litwina.

Staruszek zasępił się.

— Nic. Źle — odpowiedział krótko.

— A owe ogłoszenie? — zagadnął Kielczanin.

Pan Witort machnął ręką.

— Bo ja wiem, co o tem myśleć?.. Jakaś niby fałszywa wiadomość. Ha!.. trudno!.. — westchnął. — Majątek wprawdzie odzyskałem, lecz myślę sprzedać... Jutro będę jeszcze na uroczystości, bo udają się tam wszyscy weterani wileńscy z pułkownikiem Józefowiczem na czele. Ale wprost stamtąd jadę do Krakowa. Może w jakim klasztorze przytułek znajdę?..

Posmutnieli towarzysze nieszczęśliwego starca. Powóz minął ulicę Wielką i Zamkową, pomknął pięknym placem Katedralnym (gdzie ujrzeli sterczący jeszcze cokół pomnika Jekatieriny), wreszcie skręcił w dawny „Prospekt", obecnie ulicą Adama Mickiewicza nazwany; i zatrzymał się przed hotelem.

A tymczasem Boluk, posiliwszy się w herbaciarni na Bosakach i pozostawszy bez grosza w kieszeni, szedł ulicami i myślał: „Wraz słońce zajdzie, a nocą „obojętnie" (strasznie) jednemu chodzić. Na Krapiwnicy bandyty polują; od Popiszek do Mikaszun wilki cała droga wyją, a jeszcze dobrze koli nie pobłędzisz, kiedy księżyca nie widać... Wolej mnie z ranniego utra odprawować się".

I postanowiwszy, że dopiero jutro o świcie wyruszy w drogę, rozejrzał się, gdzie jest. Wcale bowiem nie spostrzegł, iż zawędrował do ogrodu Bernardyńskiego, skręciwszy z ulicy Zamkowej przez Królewską (dawniej Botaniczną). Tego dnia nie było w ogrodzie żadnego koncertu, więc nikt chłopca w bramie nie zatrzymał. Minął piękne klomby na placyku, obszedł bezużytecznie marnowany zgrabny teatrzyk letni i ocknął się nad brzegiem Wilenki, mając po przeciwnej stronie olbrzymią żółtą ścianę stromego urwiska góry Bekieszowej.

Na bystrej, wąskiej rzeczce huczały dwa sztuczne wodospady, a pod niemi biała piana kłębiła się i przewalała, jak żywe jakieś, a wściekłe stworzenie.

Boluk usiadł na ławce i patrzył przed siebie. Robiło się coraz ciemniej, coraz ciemniej... Chłopiec pochylił się na bok, potem uniósł nogi, wyciągnął je na desce...

— Jutro przed wschodem słońca pójdę... — pomyślał i usnął.

Tymczasem ogród opustoszał, bramy pozamykano.

— A tu kto leży? — zawołał gruby obcy głos.

Chłopiec poczuł, że go ktoś tarmosi. Otworzył oczy. W pobliżu stał stróż ogrodowy, za nim policjant.

— Ktoś ty? — powtórzył gruby głos.

Chłopiec zaczął się tłumaczyć, opowiadać, co się stało, ale przerwał mu policjant:

— Dokumenty masz?

Nie miał.

— Więc pójdziesz, ptaszku, do okręgu.

— Co?.. Jakto?

— Marsz! Niema co gadać.

25. KU CZCI BEZIMIENNEGO BOHATERA.

niedzielę, dnia 21-go sierpnia, od samego rana ruch panował w Wieczoryszkach. Jako główny administrator puszczy Rudnickiej oraz właściwy inicjator uroczystości w Starych Macelach, pan nadleśny musiał pierwszy stawić się na miejscu i sprawdzić, czy jego zarządzenia wykonane zostały.

Zaraz po śniadaniu zajechały bryczki i wszyscy się niemi zabrali razem z panią Ławską oraz Wandzią, które na ten dzień z Wilna przybyły.

Na gościńcu skrzypiały już długim sznurem wózki włościańskie. Wiadomość o zapowiedzianym obchodzie szeroko rozeszła się po okolicy i mocno poruszyła umysły, zwłaszcza odkąd stało się pewnem, że sam biskup nabożeństwo odprawi i krzyż poświęci.

Przed kościołkiem w Rudnikach formowała się już tłumna procesja; wynoszono i rozwijano chorągwie.

Bryczki wieczoryskie wyminęły szykujący się pochód i wkrótce skręciły w las. Pogoniła za niemi pieśń, co się zerwała nagle z wielu piersi, lecz żwawy trucht koni coraz ją bardziej oddalał, oddalał... — już giną męskie basy, już tylko słychać krzykliwe bab soprany; jeszcze raz cały chór zahuczał pełnym, acz stłumionym, zespołem i raptem o uszy uderzyło tylko telepanie kopyt po miękkiej drodze.

U wjazdu do wsi Żegaryno wyrosła brama tryumfalna, cała zielonemi gałęziami przybraną. U góry widniał na czerwonem płótnie biały napis: „Cześć bojownikom wolności!". Całą drogę przez wieś i dalej

wysadzono po obu stronach brzózkami, a co kilka kroków mijało się śpieszące gromadki odświętnie ubranych wieśniaków.

Przed znaną nam zagrodą gajowego Użdawinisa bryczki zatrzymały się. Jadący niemi wysiedli i poszli dalej piechotą. Magdusia z Wandzią pobiegły przodem. Zdaleka już ujrzały wysoki biały krzyż, świeżo pośrodku cmentarzyka wzniesiony. Zbliżywszy się do furtki, przy której wystawała z za płotu prowizoryczna, girlandami z liści przystrojona mównica, dziewczynki rzuciły okiem na przeciwną stronę drogi. W półkolu niebotycznych sosen, na tle żołtawych prostych pni, rzekłbyś scementowanych gąszczem prawie czarnej zieleni, stał, zbity ze świerkowych żerdzi, ołtarz, a ponad nim jaśniał smukły brzozowy krzyż. Dwaj gajowi okrywali właśnie stół szarym kilimem, poczem wzięli się do rozkładania na stopniach dywanu.

Podczas gdy Wandzia przyglądała się jeszcze ich robocie, Magdusia weszła na cmentarzyk i zbliżyła się do mogiły powstańca. Otaczały ją biało-amarantowe sztachetki, a u podstawy krzyża widniał napis:

BEZIMIENNEMU
BOJOWNIKOWI WOLNOŚCI

Tu spoczywa nieznany z nazwiska oficer Powstańców, raniony w zwycięskiej bitwie z Moskalami w pierwszy dzień Zielonych Świątek r. 1863 pod wodzą „Sendka". Bitwa stoczona była w ostępie leśnym puszczy Rudnickiej (kwartał 77) u źródła rzeczki Szpigujec.

Jeszcze nie skończyła czytać, gdy niespodzianie po lesie rozległ się przeciągły wielogłośny śpiew. Spojrzała za siebie i zaciekawiona wróciła do furtki. Ze strony przeciwnej, niż leżały Wieczoryszki, zbliżała się drogą, prowadzona przez młodego kapłana, procesja, powiewająca różnobarwnemi chorągwiami.

— To z Połukni—objaśnił stojący w pobliżu gajowy.

— Czy pan nie widział tej panienki, co tu ze mną była?

— Widział. Poszła w stronę Macel.

Coraz więcej ludzi zbierało się między ogrodzeniem cmentarza i ołtarzem. A gdy nadeszła z Rudnik procesja, uczynił się tłok. Wówczas wystąpili panowie podleśni z oznakami straży honorowej, celem zaprowadzenia pewnego porządku. Właśnie zajęci byli rozmieszczaniem przybyłych, gdy znów usłyszano pieśń chóralną. Wesoła nuta, skoczne tempo — skauci. Dziarscy chłopcy chętnie dopomogli podleśnym i oto po obu stronach ołtarza utworzyła się w półkolu żywa wiązanka z dziewcząt, przeważnie biało ubranych; tuż przy ołtarzu — z jednej i drugiej strony — wykwitły czerwone, błękitne i białe chorągwie. Zagrała gdzieś w dali orkiestra wojskowa i ucichła.

Magdusia chciała poszukać Wandzi. Przedostawszy się przez tłum, szła w kierunku chaty gajowego, gdy w pobliżu zabuczały automobile. Spojrzała. Pięć samochodów ledwo się posuwało po zapełnionej ludem drodze. W pierwszym poznała generała Żeligowskiego, obok którego siedział nieznany jej oficer. Generał rozglądał się dokoła, więc mu dygnęła. Zauważył, uśmiechnął się i przyłożył dwa palce do czapki. Następny automobil, zamknięty, miał wygląd karety. Siedział w nim staruszek w fioletowej piusce na głowie — przy nim ksiądz.

— Biskup, biskup... — szeptali rozstępujący się włościanie.

Ledwo przejechała kareta, przysunął się następny samochód w kształcie dużego, otwartego omnibusu. Na ławkach siedzieli weterani, a wśród nich stary oficer, o pełnej twarzy, ozdobionej grubemi siwemi wąsami. W czwartym automobilu jechał pan dyrektor z żoną i Zdzisiem, a w piątym — młodzi oficerowie, ci sami, co byli z generałem na polowaniu. Poznali Magdusię, zatrzymali się i zaprosili ją do siebie. Chętnie z tego skorzystała, bo straciła już nadzieję odszukania Wandzi w rosnącym coraz bardziej tłumie. Jechała, zresztą, niedługo, ale gdy wysiadła, miała przynajmniej towarzystwo, którego trzymać się mogła.

Przed ołtarzem, na wolnym od tłumów placyku, stał generał Żeligowski, otoczony kilku zgrzybiałymi

starcami w siermięgach. Był między nimi i znany dziewczynce Jan Jurgielewicz.

— Tak, panie generale, — mówił — my pamiętamy, dobrze wszystko pamiętamy... Toż ja sam ze starym Użdawinisem nocą jego pogrzebał. A ci, co tu stoją, wszyscy powstańcom służyli. Oj, nacierpieli się potem, nacierpieli od Moskali... Pozabierano im grunta, popalono chaty... O!..

Starcy kiwali siwemi głowami.

— Panie adjutancie — zwrócił się generał do młodego oficera, przy którym właśnie stała Magdusia — proszę spisać ich nazwiska i dowiedzieć się, co któremu rząd rosyjski skonfiskował. Tę ziemię trzeba koniecznie zwrócić, krzywdy nagrodzić.

— Niech panu generałowi Bóg to wynagrodzi! — zawołali chórem włościanie.

Do staruszków zbliżył się oficer, który z weteranami przybył i uścisnąwszy im dłonie rzekł:

— Koledzy, proszę do naszego grona — poczem poprowadził włościan ku stojącej obok ołtarza grupie weteranów, a szare ich siermięgi zmieszały się z czarnemi surdutami.

Wtem na stopniach ołtarza stanął biskup — z pastorałem w ręku, w wysokiej infule na głowie—postać jego zarysowała się tak malowniczo na tle dzikiego boru, że dziewczynkę ogarnął zachwyt, oczu od tego widoku oderwać nie mogła. Rozpoczęła się msza polowa, w której organy zastępowała orkiestra przybyłego na uroczystość szwadronu ułanów. Nabożeństwo zakończyła pieśń „Święty Boże", którą zaintonował — zdawało się — las cały.

Zapanowała cisza. Trwała chwilę. I oto drogą zaczęli przesuwać się przed furtką cmentarną ułani na koniach. Nad głowami ich furkotały biało-amarantowe chorągiewki, a oni, wlepiając oczy w błogosławiący ich białemi ramionami krzyż, cześć oddawali prawdziwemu bohaterstwu, ni nagrody, ni sławy nawet nieżądne.

Przeszli ułani.

Po nich defilowali skauci, jako też członkowie Związku Bezpieczeństwa Kraju z karabinami na ramionach.

Teraz na mównicę wstąpił biskup.

Szmer przeszedł po narodzie. Kapłan wzniósł oczy do nieba. Siwy, niewielkiego wzrostu, o twarzy łagodnej, prawie kobiecej, mówić zaczął cicho, jakby sił nie miał na opanowanie tych tysięcy słuchaczów, co nietylko placyk przed ołtarzem, ale i drogę po obu stronach daleko zapełnili.

Lecz niespodzianie głos starca nabrał mocy. Słowa poczęły dzwonić, jakby je śpiż rozsyłał, a słowa to były silne, a myśli, w nich zawarte, mężne i męstwo sławiące.

. . . Oto — mówił biskup — jako Izrael przez morze Czerwone, tak Polska tylko przez czerwone morze krwi dojść mogła do swej Ziemi Obiecanej — niepodległości. Krew, za Ojczyznę przelana, nigdy nie idzie na marne. Dowodem — ten tu grób, do czasu nieznany, zapomniany, a przecież dziś wreszcie odbierający hołd wszystkich serc naszych.

Mówił dalej, co dla narodu znaczy niepodległość; że skarbu tego nigdy już wydrzeć sobie nie damy i wzorem bezimiennego bohatera, żadnej nie poskąpimy ofiary w obronie wolności.

Ojczyzna wymaga ofiar, a składać je to konieczność, to obowiązek każdego prawego jej syna. „Niech nad tym grobem bezimiennego powstańca — kończył kaznodzieja — popłynie nie tylko modlitwa nasza, ale i ślubowanie serc naszych, że stać będziemy wiernie, jak on, przy wolności“...

— „Nie damy ziemi, skąd nasz ród“

zagrzmiała pieśń w odpowiedzi. I znów zdawało się, że cały las ją śpiewa, że śpiewa ją ta puszcza, co w kniejach swoich tuliła i przed okiem wroga ukrywała najwierniejszych synów Ojczyzny, dających jej krew, dających jej życie, bez nadziei nagrody, ba! wdzięczności nawet.

Starzec zeszedł z mównicy. Lud rozstępował się przed nim, a głowy chyliły się w niemej, głębokiej czci.

Magdusia była tak wzruszona, że zupełnie odleciało gdzieś strapienie, spowodowane zniknięciem Boluka. Szła, jak błędna, za oficerem, obok którego

wciąż stała i ocknęła się dopiero tuż przy generale. Spojrzała nań. Miał twarz pogodną i rozglądał się, jakby kogoś szukał.

Podjechał samochód, adjutant otworzył drzwiczki. Ale generał nie wsiadał.

— Gdzież są — zapytał — ci starzy poczciwcy, z którymi tu rozmawiałem?

Cztery szare siermięgi wysunęły się z tłumu.

— Siadajcie, ojcowie — rzekł generał, wskazując im własny automobil.

Wahali się chwilę, spoglądali jeden na drugiego, miętosząc czapki.

— Siadajcie! — powtórzył generał i podsadził pierwszego z brzegu.

— Odwieziecie ich — rzekł do żołnierza-kierowcy — każdego do jego chaty.

— Niech żyje nasz generał! — huknął okrzyk z piersi wszystkich obecnych. — Wiwat!..

— A pan generał jak pojedzie? — szepnął salutując młody adjutant.

— Chyba zmieszczę się w autobusie panów weteranów.

To powiedziawszy zbliżył się do grona starców w granatowych kaszkietach. Magdusia spojrzała w ich stronę i nagle znów przypomniała sobie Boluka. Serce jej napełnił żal szczery. Oto między weteranami teraz dopiero spostrzegła tego, z którym siedziała w wagonie i którego uważała za Bolukowego dziadka.

26. SPOTKANIE.

już odeszła połukniańska procesja, już ustawiali się członkowie rudnickiej, by ruszyć w stronę przeciwną, gdy Magdusia, raz jeszcze spojrzawszy na ołtarz, stanęła, jak wryta. Z za grubej sosny wysunął się niespodzianie Boluk.

Był, widocznie, tak zmęczony, że słaniał się na nogach, ale mimo to śpieszył, by się złączyć z pochodem.

W jednej chwili dziewczynka odzyskała przytomność i z sercem, tak pełnem radości, że aż jej w piersiach skakało, przybiegła do samochodu weteranów. Kilku jeszcze starców nań się gramoliło po niezbyt wygodnych stopniach. Między nimi spostrzegła i pana Witorta.

— Proszę pana!.. proszę pana!.. — wołała już zdaleka — niech pan nie odjeżdża!.. niech pan zostanie.

Starzec patrzał na nią zdziwiony.

— Pan musi zostać—rzekła już zbliska Magdusia.

— Jakto!.. Dlaczego?..

— Ważna wiadomość! — krzyknęła i odbiegła pozostawiając zdumionego starca.

Odszukała Boluka i chwyciła go za rękę.

— Chodź, chodź ze mną — mówiła, ledwo dech łapiąc.

Ciągnęła chłopca. Nie opierał się. Podbiegła znów do weterana.

— Pan poszukuje wnuka...

— Ach! — wykrzyknął starzec, jakby nagle przypominając sobie — tośmy razem pociągiem jechali.

— Tak... jechali... wnuka.. pan... — bezładne słowa wyrywały się z ust Magdusi.

— Kolego, siadajcie! — zawołał ktoś z autobusu.

— Jedźcie sami — odpowiedział — ja tu muszę zostać.

Chwilę namawiali go, zapraszali i nareszcie automobil zahuczał, zawarczał i ruszył.

Magdusia odetchnęła.

— Zostałem — rzekł weteran — wytłómacz teraz, dziecko, o co ci chodzi.

— To Boluk, wnuk pański! — krzyknęła i znów odbiegła.

Przez chwilę weteran i chłopiec przyglądali się sobie nawzajem — pierwszy jakby trochę był ogłuszony, a trochę nie dowierzał... drugi z wyraźnem zakłopotaniem i raz wraz oglądając się za Magdusią.

— Jak się nazywasz chłopcze? — zagadnął wreszcie stary pan.

— Boluk Kurejko.

— Masz rodziców?

— Dlaczego!., Mam.

— Więc co ona opowiada?

— Jaż wiem?.. — Boluk wzruszył ramionami.

— Nie rozumiem, nic nie rozumiem — mruknął weteran, czyniąc gest podobny.

Ale oto wróciła Magdusia. Była tak podniecona, że nie mogła nic innego mówić, jak tylko wołać:

— Tatusiu, ty powiedz, ty powiedz, bo ja nie umiem!

W tejże chwili do weterana zbliżył się ojciec Magdusi. Za nim szedł Paweł. Panowie przywitali się.

— Nie rozumiem — zaczął starzec — co ta dziewczynka...

— Wszystko panu później objaśnię — przerwał mu ojciec. — A tymczasem... Tu odwrócił się w stronę stróża.

— Pawle — rzekł — ten pan nazywa się Witort, jest właścicielem majątku Angleniki. Czy nie macie mu nic do powiedzenia?

Stróż otworzył szeroko oczy i wlepił je w weterana.

— Jakże!.. mam — rzekł po chwili, zdejmując czapkę i drapiąc się w głowę, — Tylko... tu urwał zakłopotany.

— O co wam chodzi? — wtrącił niecierpliwie ojciec.

— Czy pan nie za stary na ojca takiego chłopaka?

— Na ojca może za stary, ale na dziadka?..

— Nu, koli dziad, tak ja powiem prosto: wo! wnuk panowy. I ręką ukazał Boluka.

Oniemiałego ze zdumienia chłopca porwał w ramiona weteran. To okrywał twarz jego pocałunkami, to odsuwał od siebie i patrzył, patrzył, jakby go oczami rozbudzić i do siebie przekonać pragnął.

Gdy ojciec i Magdusia wprowadzili towarzyszów swych do chaty Uždawinisa i opowiedzieli, co się stało, wszyscy obecni tu aż z miejsc się zerwali. Zarzucano pytaniami starego weterana, Boluka, Pawła...

— A czemuż to — zagadnął stróża nadleśny — trzymaliście rzecz w takiej tajemnicy, że nawet przed samym chłopcem ukrywaliście jego pochodzenie?

— Przepraszam pana — odpowiedział Paweł — u mnie to tak: „jak nie pytajuć, tak i nie każi". A kiedyby wszystkie wiedzieliby, wraz przyszliby pytać: a co, a jak, a kto?.. Toż u chłopaka majątek... Przyjdzie frant jaki — powie: ja jego dziadźka, krewniak, jego babka — mojej babce... Weźmie dziecko, zmarnuje... Małoż to takich żulików?

— Typowa chłopska nieufność—szepnął nadleśny.

— W każdym razie — odezwał się weteran — uchowaliście mi chłopca zdrowo i nie musiało mu być źle, bo patrzy na was, jak syn rodzony. Bóg wam zapłać, poczciwy człowieku. — Tu starzec mocno uścisnął dłoń Pawła. — Koszty, jakie ponieśliście, z wdzięcznością wam zwrócę.

Zaprzężono konie, Użdawninis też swojego założył i całe towarzystwo ruszyło do Wieczoryszek. Niespodziane pojawienie się Boluka wywołało sensację. Wszyscy wypytywali go o szczegóły wypadku. A skoro jeszcze dowiedziano się, że znalazł dziadka, że okazał się — paniczem, dziedzicem znanego w okolicy majątku — zdumienie granic nie miało.

Pawłowa spłakała się na widok pana jej wioski rodzinnej, ucałowała jego ręce, a potem zwróciła się do Boluka.

— Panicz ty moj, czy syn? — zapytała.

— Syn! syn! — zawołał i rzucił się zacnej kobiecie w objęcia. — Choćby ja na wielkiego grafa wykierował się, wy u mnie zawsze liczycie się matką.

— Możesz ją kochać, jak matkę — wtrącił dziadek — ale pamiętaj, że rodzona twoja matka może się jeszcze znaleźć...

— Daj Boże! — szepnęła Pawłowa.

27. ZAKOŃCZENIE.

ończyły się wakacje. Magdusia szykowała się do wyjazdu. Boluk miał również opuścić wkrótce Wieczoryszki. Pan Witort postanowił zawieźć go na jakiś czas do Krakowa.

— Pawłowa karmiła go dobrze, Paweł uczył poczciwie pracować — mówił starzec — ale wnuk moj nie może przecież całe życie używać gwary pół-polskiej pół-białoruskiej. W Krakowie prędko nauczy się dobrze mówić po polsku, a wtedy wrócimy do Wilna i tu go kształcić będę.

Boluk jednak postanowił aż do wyjazdu nie zmieniać trybu życia: pracował po dawnemu i po dawnemu Kaziuka, Wiktę, Jóźkę za rodzeństwo swoje uważał. Czasem nawet rozumiał, że ich wszystkich kocha teraz daleko mocniej, niż dawniej, kiedy wcale nie myślał o możliwości nagłego rozstania się z nimi.

Chwila ta jednak zbliżała się. Aż nadszedł ostatni dzień.

Magdusia i Boluk snuli się jacyś smutni, osowiali. Dziewczynka wyobrażała sobie, że wszystko to będzie inaczej, zupełnie inaczej.

Nie zastanawiając się poszli oboje po południu nad rzekę. Postali, popatrzyli na wodę, co pędziła, pędziła, nie zatrzymując się ani na chwilę, jak te dni życia ludzkiego... Płynie, płynie, ani jedna kropelka na dawne miejsce nie wraca...

Poszli na łąkę. Wygolona już była zupełnie, jak krótko ostrzyżona czupryna. Zieleń zato miała rów-

niejszą i weselszą. Ale po drugiej stronie rzeki trawy nie skoszono jeszcze. Kołysały się nad nią wielobarwne kwiatki. Boluk i Magdusia usiedli na brzegu. Nie mówili nic, myśleli — sami nie wiedząc o czem.

Zapatrzyli się w kwiecistą łąkę, w czarno-zielony las za nią, w białe chmurki, płynące po lazurowem niebie.

Wtem na środku łąki zaklekotało kilka bocianów. Stawały, znów chodziły, poruszając dziwnie szyjami i nie przestawały gadać, gadać wszystkie razem. Po chwili przyfrunęła nowa para, zatoczyła koło i spadła na ziemię. Potem przyleciał jeden bocian, potem znów trzy... Liczba ptaków powiększała się niemal z każdą minutą, a klekot stawał się coraz głośniejszy i ruch na łące coraz żywszy. Niektóre bociany podlatywały i siadały dalej, inne wznosiły się wysoko, zataczały wielkie kręgi, nawet znikały na chwilę za lasem, lecz niebawem wracały i przyłączały się do wiecowego ogólnego klekotu.

— Co to takiego? — spytała Magdusia.

— A ot — posępnie odpowiedział Boluk — odprawują się w ciepłe kraje.

— Odlecą!.. — powtórzyła zamyślona Magdusia.

— Nam także samo przyjdzie się odlecieć...

Milczeli chwilę.

— Boluk — szepnęła Magdusia — czy my się jeszcze kiedy zobaczymy?

— Chciałby — odpowiedział — ale jak Bóg nie da, tak co?

Łzy im w oczach stanęły i uściskali się gorąco.

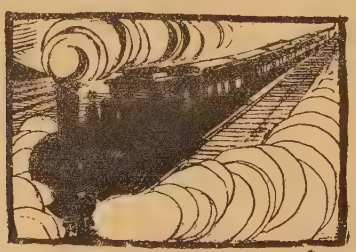

SPIS ROZDZIAŁÓW.

str

1) W „slipingu“ 5
2) Opowiadanie starca 9
3) Spotkanie w lesie 14
4) Na pastwisku 19
5) Gościniec Jusiela 24
6) Strzał Boluka 29
7) Ważna zdobycz 34
8) Tajemniczy papier 38
9) Grób powstańca 42
10) Niespodzianka 48
11) „Bolszewik“ 54
12) W smolarni 59
13) Pożar lasu 64
14) Koniec tajemnicy 69
15) Sianokos 74
16) Zdziś poluje 78
17) W uroczysku 83
18) Na weselu 88
19) Dobra wiadomość 93
20) Polowanie 98
21) Porwanie 103
22) Boluk nie wraca 108
23) Na „fest“ 113
24) W Wilnie 118
25) Ku czci bezimiennego bohatera 123
26) Spotkanie 129
27) Zakończenie 133

LUDWIKA CHOMIŃSKIEGO
WYDAWNICTWA LITERACKIE

HANNA ZAHORSKA (SAVITRI)
DNIOM ZMARTWYCHWSTANIA (poezje)

JAN BUŁHAK
MOJA ZIEMIA (poemat).

WANDA NIEDZIAŁKOWSKA-DOBACZEWSKA
WILNO (poezje). Wydanie ozdobne z kliszami J. Bułhaka.

EDWARD SŁOŃSKI
O ŻOŁNIERZU TUŁACZU (bajka ilustrowana przez Z. Grabowskiego).

STEFAN WIERZYŃSKI
ŚMIETNIK (poezje).

TADEUSZ ŁOPALEWSKI
GWIAZDY TAŃCZĄCE (poetyki).

SEWERYN ODYNIEC
GOLF BŁĘKITNY (poezje).

ROMUALD MINKIEWICZ
LISTY MIŁOSNE I PIEŚNI.

EDWARD SŁOŃSKI, ST. W. RYKOW, BENEDYKT HERTZ
AD MAJOREM N.-D. GLORIAM (wycieczki satyryczne)

HOMUNCULUS
WILEŃSKIE PIOSENKI SEJMOWE. Z karykaturami Algo.

W. SĘP
SEJM WILEŃSKI (piosenki satyryczne).

JAKSA MNICH
NA SKRZYDŁACH SZAŁU (bajnał ezoteryczny)

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI
ŚLUBY (dramat).

HEL. ROMER
KSIĄŻKA O NICH (powieść poetycka).

HEL. ROMER
SWOI LUDZIE (nowele wileńskie).

BENEDYKT HERTZ
WAKACJE W PUSZCZY (powieść dla młodzieży z rysunkami K. i M. Roubów).

ALEKSANDER CHOMIŃSKI
KSIĄDZ ADAM (dramat). Z rysunkami Kamila Mackiewicza.

ALEKSANDER CHOMIŃSKI
ON I ONA (dramat).

ALEKSANDER CHOMIŃSKI
MILJON (fraszka sceniczna o miljonówce).

WŁ. RENARD
WŁODEK POMIAN (obrazek rodzajowy z XVI w).